DOLINA ŁEZ. G. Doré.

STEFAN BUSZCZYŃSKI.

RĘKOPIS Z PRZYSZŁEGO WIEKU

FANTAZYA SPOŁECZNA Z R. 1881.

Ks. Marcin Śleptich

KRAKÓW
1918.

Ks. Marceli Ślepicki

STEFAN BUSZCZYŃSKI.

RĘKOPIS
Z PRZYSZŁEGO WIEKU

FANTAZYA SPOŁECZNA Z R. 1881.

KRAKÓW.
DRUKARNIA „GŁOSU NARODU".
1918.

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095893784

SŁOWO O AUTORZE.

Stefan Buszczyński, ur. w r. 1821 w Mołodkowcach na Podolu zakordonowem, zmarły w Krakowie w roku 1892, głośny jeszcze niedawno pisarz polityczny, badacz społecznego życia i myśliciel, którego dzieła wywołały w swoim czasie sądy równie namiętne, jak sprzeczne, był typem twórcy samotnego. Nie dlatego, by to, co wykładał w swych pismach, było do zrozumienia trudne, zawiłe i zawrotne. Przeciwnie. Nic mniej skomplikowanego. Jeślibyśmy duchowy Buszczyńskiego konterfekt chcieli nakreślić w sposób jak najbardziej zwięzły, trzebaby powiedzieć, że był to poprostu — konsekwentny chrześcijanin. I to było właśnie źródłem rozdźwięku pomiędzy światem jego myśli a światem zewnętrznym. Prostolinijność myślenia, właściwa wszystkim ludziom silnej idei, sprawiała, że Buszczyński bez żadnych wykrętów kompromisowych stosował nakazy moralne do życia i mianowicie do życia nietylko jednostkowego, ale i zbiorowego. Dzieła jego, pełne wysokiego idealizmu, porywające nieraz gruntowną nowoczesną erudycyą i operujące kategoryami najściślej pozytywnemi, wszystkie niemal ściągały się do owej naczelnej zasady. Garść gorących zwolenników idei Buszczyńskiego była w swoim czasie stokrotnie przeważona przez przeciwników, którzy — w prasie mianowicie — skutecznie stosowali do niego wypróbowaną metodę przemilczania. Naogół pozostał Buszczyński odosobnionym. Ten fakt pozwolił mu tem bardziej utrzymać się poza obrębem małych problemików i sprawek życia i tem mocniej zaostrzył cechujący go wybitny zmysł krytyki, a przedewszystkiem ułatwił mu pozostanie na owem najwyższem stanowisku obserwacyjnem, z którego mógł z łatwością dostrzegać całokształt spraw ludzkich.

Gdyż Buszczyński — zdecydowany wyznawca zasady narodowej, gorący patryota, uczestnik powstania 1863 roku — ogarniał przedewszystkiem powszechne, ludzkie zagadnienia, mieszcząc w nich tem samem już najbliższy sobie problem polski. W r. 1867 ogłosił druzgoczącą krytykę stosunków europejskich w głośnej, bezimiennie w Paryżu wydanej książce „La decadence de l' Europe", która oparta o bogaty materyał faktyczny, posługując się zwłaszcza wymową liczb, wykazała wewnętrzną czczość i nicość kultury europejskiej i oświetliła jaskrawo otchłań istotnego barbarzyństwa, w jaką przy łudzących pozorach cywilizacyi stoczyła się część ludzkości, zamieszkująca nasz kontynent. Książka nabrała w swoim czasie ogromnego rozgłosu, omawiano ją w prasie całej Europy, powoływano się na nią w rozprawach parlamentów. Buszczyński pragnął wstrząsnąć duszami współczesnych, ukazując im w perspektywie zupełne zdziczenie Europy, jako nieuchronne następstwo kierunku, w jakim jej rozwój się potoczył. Tę myśl rozwinął jeszcze w szeregu publikacyj następnych, z których największe: po niemiecku wydane: „Die Wunden Europas" i „Ameryka i Europa", oraz w dziesiątkach pomniejszych broszur i artykułów, rozrzuconych po pismach. W ścisłym związku wewnętrznym z tym naczelnym tematem, który umysł Buszczyńskiego pochłaniał, pozostała jego działalność pisarska odnosząca się bezpośrednio do rzeczy polskich. W „Znaczeniu dziejów Polski", w czterotomowej „Obronie spotwarzonego narodu", w licznych drobnych pracach publicystycznych, wskazywał wbrew potwarczej historyografii obcej i własnej na wysoką wartość tych idei życia zbiorowego, które były przez szereg stuleci siłą motoryczną naszego rozwoju dziejowego. Polska, która w swem życiu państwowem urzeczywistniła ideały wolności w sposób nieznany gdzieindziej, i Europa, która ukształtowała się właśnie na gruzach Polski, Europa „siły przed prawem", ułożyły się w pismach Buszczyńskiego w antytezę pełną głębokiej historyozoficznej wymowy.

Po zgonie Buszczyńskiego w r. 1892 zawiązał się w Krakowie komitet obywatelski, który najważniejsze jego dzieła wydał zbiorowo. Ale kontynuator tych prac już się nie znalazł. W poglądach na przeszłość Polski

zapanowała ostatecznie szkoła krakowska, która przygasiła nietylko prawdę historyczną, ale wraz z nią i samopoczucie narodowe. Dopiero w ostatnich czasach historycy najnowsi, mianowicie specyalni badacze historyi ustroju państwowego — Balzer, Kutrzeba, Siemieński — coraz częściej dochodzą do poglądów pokrewnych tym, jakie rozwinięte zostały w „Obronie spotwarzonego narodu".

W rękopiśmiennej spuściźnie Buszczyńskiego pozostała nieogłoszona dotychczas, całkowicie wykończona rzecz, napisana na 20 lat przed końcem XIX w. i zaopatrzona dziwacznie wówczas brzmiącym tytułem: „Rękopis z XX. wieku po Chr.". W lekkiej i wykwintnej formie dyalogu, przeniesionego w dziedzinę fantazyi, autor poddaje biczującej krytyce ustrój Europy i z proroczą siłą przekonania przedstawia nieuchronny kataklizm, ku któremu zdąża europejskie społeczeństwo. Toteż „Rękopis z XX wieku" nie mógł w XIX wieku znaleźć nakładcy: wyrażone w nim poglądy były zbyt niepopularne, jak zresztą i inne dzieła autora „Upadku Europy". I dopiero dziś rzecz nabrała krzyczącej aktualności, dziś, gdy błędy i zło wykazały swe konsekwencye, logicznie przewidywane przez Buszczyńskiego, gdy ziszczają się w całej grozie przepowiednie, streszczające się w słowach: ...„Zniszczono wszystkie podstawy, wszystkie zasady, wszytkie węzły! Katastrofa nieunikniona! Gore! Słychać już trzask, szum!... Jeszcze lat kilka... kilkanaście... jeszcze ćwierć wieku, pół wieku najdalej... a społeczeństwo wasze spłonie, utonie... I nikt nie woła o ratunek, i wasi mędrcy siedzą z założonemi rękami!"....

Wobec sprawdzenia się tej pełnej grozy przepowiedni — tem większe wywierają wrażenie wizye dalszej przyszłości, jakie Buszczyński kreśli.

Autor wybrał dla przeprowadzenia swych myśli formę fantastycznego dyalogu pomiędzy człowiekiem XIX i XX wieku, między przedstawicielem wszecheuropejskiego „Bizancyum" a przedstawicielem nowej odrodzonej już ludzkości. W chronologicznem ustawieniu do siebie tych dwóch światów autor pomylił się, przynajmniej o ileby szło o początek naszego stulecia. Przesuńmy zatem ten stosunek. Wyobraźmy sobie, że dyalog toczy się pomiędzy współczesnym nam typem

europejskim a typem przyszłym, którego — dla ostrożności — lepiej na razie nie umiejscawiać w czasie. To będzie jedyna korektura, jakiej fantazya Buszczyńskiego, napisana przed czteru blizko dziesiątkami lat, dziś wymaga. Poza tem wszystko jest w niej świeże, żywe i tętniące krwią, jakby przed chwilą dopiero wyszła z warstatu pisarskiego.

A. Chołoniewski.

Szanowny Czytelniku!

Jeżeli ta ramota dostanie się do rąk Twoich, a z nudów, lub wyrokiem iście fatalnego przeznaczenia, zechcesz ją czytać, winienem uprzedzić, co w niej znajdziesz.

Zwykle rodzice widzą same doskonałości w swoich dzieciach, a autorowie w swoich dziełach. Ja również byłem nieco zaślepiony i zdawało mi się, że to, com tu napisał, godnem jest ujrzenia światła dziennego. Jakiż ojciec jest tak okrutnym, aby dziecię swoje trzymał w zamknięciu, albo tyle skromnym, żeby go ludziom nie przedstawił, choćby było najpotworniejszem? Ale po pewnym przeciągu czasu zostałem z mego zaślepienia wyleczonym.

Racz posłuchać historyi mojego „Rękopisu". Smutna i rozdzierająca ojcowskie serce. Krótka. Nie proszę nawet o cierpliwość.

Oto kilka lat upłynęło, jak napisałem to opowiadanie o mojem widzeniu. Gdym je skończył i odczytał, przestraszyłem się sam siebie. Groch z kapustą — jak to mówią. Niby to filozofia, niby obrazki z natury wzięte. Ni to zmyślenie, ni rzeczywistość. Zwyczajnie jak we śnie, gdy człowiek na wpół marzy, na wpół widzi lub słyszy na jawie. Czyż warto było przenosić na papier te dziwolągi, te płody chorobliwego umysłu? A jeśli jeszcze drukiem je ogłoszę, ludzie pomyślą, żem zwaryował. Już jeden Niemiec, pewien uczony redaktor bardzo mądrego czasopisma, strasznie się na mnie rozgniewał i uznał mnie za waryata. A za co? Oto nie mógł mi przebaczyć, że w moich dziełach dziwię się, dlaczego w tak „ucywilizowanej" Europie jest osiem milionów żołnierzy gotowych gryźć się nawzajem jak drapieżne zwierzęta? — dlaczego wojsko w czasie pokoju kosztuje rocznie przeszło trzy miliardy marek, po trzy talary na głowę każdego mieszkańca, nie wyłączając

główki nowonarodzonego dziecka? — dlaczego w XIX wieku europejskie wojska prowadziły ze sto dwadzieścia wojen, podczas gdy ministrowie zapewniali o stanie pokoju? — dlaczego w naszem cywilizowanem stuleciu zabito na polach bitwy z dziesięć milionów ludzi, a z tymi, co z ran i chorób poginęli w szpitalach, wypada każdorocznie w przecięciu około czterechset tysięcy ofiar wojny? — dlaczego przy tak wielkim postępie społecznym i finansowym nauk długi państw (respective narodów) europejskich wynoszą więcej niż sto miliardów marek, do stu talarów na głowę? — dlaczego zatem każda kwadratowa mila w Europie obciążona jest publicznym długiem nieprodukcyjnym, wynoszącym przeszło pół miliona marek? — czemu, pomimo tylu filozoficznych dzieł i dobroczynnych zakładów, znajduje się w Europie dwa miliony żebraków (jeden żebrak na 156 mieszkańców), a więcej niż dwanaście milionów ubogich (jeden na dwadzieścia osób) niewiedzących z rana, co będą jedli wieczór? — czemu wypada jeden waryat na dziewięciuset ludzi? — czemu ilość samobójstw podwaja się z każdym rokiem? — czemu tyle szkół, a tylu głupców na świecie? — czemu tylu obrońców Chrystusa, a niejeden zły jak szatan? — czemu nie można inaczej utrzymać porządku w tak postępowem, oświeconem i ucywilizowanem społeczeństwie, jak tylko za pomocą więzień, szubienic, Sybiru?— .... czemu ? .... Otóż, gdym to wszystko rozpamiętywał, może mi się doprawdy w głowie zamąciło; a gdym szukał środków zaradzenia temu, Niemiec był pewny, że dostałem obłąkania umysłu.

Udaję się tedy do rodaków, pod opiekuńcze skrzydła księgarzy polskich. Przypominam sobie, że mam „Rękopis z XX wieku po nar. Chr.“ *). Przedstawiam go nieśmiało wydawcom. Księgarze-rodacy patrzą wielkiemi oczyma na tytuł, a z podełba na mnie. W bystrem ich obliczu przebija wyraźnie pewien rodzaj współczucia, litości... Przez grzeczność biorą jeden po drugim mój rękopis „do przeczytania“, lecz oddają mi go jeden po drugim bez przeczytania. Ktoś przejrzał go. „Ah, to ten !... Znany autor wielu dziwolągów, egzal-

*) Taki był pierwotny tytuł niniejszej pracy.

towany ideolog, fantastyk, reformator, marzyciel, utopista... Księgarzowi więcej nie trzeba. „U nas, panie, nikt nic nie czyta. Ja tego dzieła nabyć ani drukować własnym nakładem nie mogę!“... Nikt nie czyta? Chwała Bogu! Przenosimy się więc z XIX wieku do X ery chrześcijańskiej. „Patrz pan — mówi pewien księgarz — chciałem wybudować sobie dwa pałace, a mam dopiero jeden tylko, po kilku latach ciężkiej pracy. „Gdybyś pan napisał — powiada inny — Tajemnice czarnego dyabła, Spowiedź kokotki, Objawy duszy pod mikroskopem, albo bohaterskie czyny dziesięcioletniego bandyty, mógłbym panu ofiarować po trzy guldeny od arkusza druku i przyjąłbym dzieło w komis po 90 od sta.

Przyjemnie mi było widzieć taką gorliwość w szerzeniu oświaty nawet między kucharkami; ale mój rękopis!... Co tu robić? Z natury jestem uparty, więc gdy znalazł się łaskawca, co odważył się wydać go, postanowiłem to, co mi się zdarzyło, ogłosić drukiem na przekorę wszystkim tym księgarzom, krytykom, redaktorom, którzy kiedykolwiek i za cokolwiek nazwali mnie dziwakiem, ideologiem, marzycielem, na przekorę wszystkim tym arcychrześcijańskim napastnikom, którzy w imię miłości ewangelicznej bryzgali na mnie jadem nienawiści. Przebaczcie!

Kraków, 1884 roku.

„Somnia vigilantium".

Jadąc do Italii na zimę, zmuszony szukać łagodniejszego klimatu, oczekiwałem przybycia córki w mieście Graz, stolicy pięknej Styryi, w nędznym, lecz z szumną nazwą hotelu „zur Kaiserkrone".

Zażywszy od kaszlu proszek, do którego wchodziła znaczna doza opium, oddałem się poobiednej drzemce w pokoju pod Nrem 3, dużym a ciemnym, gdy ktoś zastukał do drzwi.

— Herein! — zawołałem. Mężczyzna słusznego wzrostu, dość jeszcze młody, o jasnych włosach, ujmującej powierzchowności wszedł szybko, dziwnym witając mnie ukłonem. Strój jego niepodobnym był do żadnego z powszechnie widzianych ubiorów. Była to mieszanina wschodnich sukien z europejskim krojem, ale wytwornym smakiem połączona w jedną harmonijną całość. Kurtka z cienkiego sukna, na kształt bluzy, zmarszczona nieco u góry, z połami wyżej kolan spadającemi, z szerokimi, krótkimi rękawami, lekko przepasana, pokrywała obcisły trochę kaftan spięty na guziczki. Spodnie dość przestronne, lecz zgrabnie zarysowujące nogi, łączyły się prawie z obuwiem lekkiem, z którego szybko u progu spadły zwierzchnie trzewiki, podobne do kaloszy, stalową sprężynką opatrzone. Na ramionach zwieszony był fałdzisty płaszcz, przypominający hiszpańską almawiwę, gruby, wełniany, lecz nadzwyczajnie lekki; przy zdjęciu go, skręcony w jednej chwili, za pomocą mechanizmu w drobny zwitek. Kapelusz z wielkiemi, łatwo podnoszącemi się do góry i skręcającemi się w trąbkę skrzydłami, do których przymocowane były gąbki, uzupełniając ten strój oryginalny, a jednak wielce malowniczy. Wszystko w nim nosiło cechę praktyczności, połączonej z estetycznym wdziękiem. Zastosowany był do pory jesiennej.

Przybyły, trzymając jedną ręką zwój papieru, drugą, złożywszy płaszcz i kapelusz, nałożył sobie na głowę rodzaj obręczy najeżonej śrubkami, jakiś metaliczny przyrząd; zakręcił śrubkę nad czołem i zapytał grzecznie:

— Jesteś literatem?

Uraziła mnie ta poufałość formy, obok dziwnego sposobu postępowania. Nic nie odpowiedziałem, patrząc zdumiony na tego cudaka.

— Jesteś literatem..... autorem?..... — powtórzył

— Tak — przebąknąłem, uśmiechając się i patrząc mu w oczy słodkiem, łagodnem, jaśniejącem wejrzeniem. — Ale cóż to pana obchodzi?

— Pozwolisz, że usiądę.

— Bardzo proszę. Z kimże mam przyjemność?...

— O, mój drogi! ja nawzajem zapytam: co cię to obchodzi?

— To jakaś mistyfikacya, żart — odpowiedziałem. — Możeśmy się kiedy znali?

— Obe — ho! Bynajmniej — rzekł mój gość. — Ja nie z tego wieku.

— Jakto?

— A tak! Jeszcze przecież macie tu ze dwadzieścia lat do końca dziewiętnastego stulecia, a ja jestem z dwudziestego wieku.

— Waryat! — pomyślałem i mimowolnie spojrzałem ku drzwiom.

— Masz mnie zapewne za człowieka z obłąkanym umysłem? — rzekł spokojnie, uśmiechając się. — Nie dziwię się wcale. W atmosferze waszych czasów, wszystko, co tylko wychodzi poza obręb ciasnych pojęć dzisiejszych, wydaje się szaleństwem. Bądź spokojny. Waryatem nie jestem, chociaż wolno ci myśleć o mnie, co się podoba; ale do was nie należę.

— Wszak jesteś pan pośród nas, żyjesz z nami, mówisz do mnie. Masz ciało i kości. Należysz więc do dziewiętnastego wieku.

— Ciałem jestem pośród was; ale duchem do was nie należę. Jacy wy dziwni z tym waszym materyalizmem! — dodał litościwie, uśmiechając się. — Mierzycie wszystko miarą waszego nędznego ciała, waszych skalpelów, waszych szkiełek. Nie rozumiecie jeszcze

tego, że można żyć ciałem w jednej porze, a duchem sto lat lub kilkaset lat wcześniej, albo później.

— Dlaczego nie? — odrzekłem. — Za pomocą wyobraźni.

Uśmiechnął się szyderczo, spojrzawszy na mnie znaczącym, zdziwionym wzrokiem.

— Za pomocą wyobraźni — powtórzył — i zapewne za pomocą nerwów?!... bo już, wy, ludzie dziewiętnastego wieku, doskonale zbadaliście co to jest wyobraźnia. Otóż nie; powiadam ci, nie wskutek wyobraźni, lecz rzeczywiście duchem żyję przy końcu dwudziestego wieku. Urodziłem się w roku 1921 [1]).

— W roku 1921 — zawołałem, patrząc ze smutkiem na mego gościa.

— Tak. W sto lat po śmierci Napoleona pierwszego, który był wielkim filozofem.

— Filozofem? — spytałem przerażony. — Wodzem.....

— Filozofem, nie wodzem — rzekł trochę niecierpliwie. — Wodzów takich, jak on, historya przedstawia nam wielu, zacząwszy od mitycznych indyjskich bohaterów Mahabaratu, albo od Cyrusa i Aleksandra macedońskiego; ale Napoleon był uosobieniem filozofii ośmnastego stulecia i ówczesnych społecznych teoryi. Co Rousseau, Voltaire, Mirabeau pomyśleli, nie wyłączając nawet poczciwego Saint-Simona, to Napoleon zrazu chciał i mógł urzeczywistnić. Był to praktyczny filozof, mędrzec, który miał zamiar zastosować do życia politycznego zasady, o jakich marzyli Pythagoras, Platon, Aristoteles i ich następcy. On nie dążył do zburzenia społeczeństwa; lecz chciał Europę, jak sam się wyraził, „obrócić na wywrót“, przenicować. Ale mu się w głowie przewróciło. Z nim to się stało, co on chciał zrobić z europejskiem społeczeństwem. Wszystko zginęło, gdy przestał być filozofem, a został pospolitym monarchą. Bitwa pod Waterloo była dla niego karą. Kongres wiedeński, kongresy w Lublanie, Weronie i tym podobne zniszczyły resztę; cofnęły Europę o całe wieki, a w nieubłaganem następstwie zdarzeń ludzkość otrzymała

---

[1]) Autor urodził się w r. 1821. Pojęcia przeciwstawione w dyalogu dzieli zatem sto lat czasu.

cios, z którego długo się nie podźwignie. Siła fizyczna zwyciężyła.

Z pewnem zajęciem patrzałem na tego dziwnego człowieka. On zwrócił uwagę na proszki, leżące na stole. Rozwinął, pokosztował.

— Cóż to! — zawołał. — „Sulphur auratum antimonii"? Opium? Czy to u was nie jest kontrabandą? Gdzież to dostałeś?

— W aptece.

— Jakto! U was są jeszcze apteki? są jeszcze lekarstwa?

— Są.

— I dozwolone? W imię wolności handlu prawo pozwala truć ludzi!

— Ależ mamy przecie medyków — rzekłem z uśmiechem.

— A, macie jeszcze medyków? To prawda! Cóż dziwnego? Jesteście materyą, ciałem bez ducha. Wyobrażacie sobie, że wam potrzeba lekarzy ciała. Ale powiedz mi, czy choć jeden medyk wasz pomyślał nad tem, że trzeba pierwej leczyć ducha waszego, który jest chory, bardzo chory; zgniły, że tak powiem.

— Jakże medycy mają leczyć ducha, kiedy nie wierzą w jego istność — odpowiedziałem.

— Masz słuszność. — Tu zamyślił się i przeglądał proszki. — Słuchaj! — dodał w końcu. — Wy jesteście ciężko chorzy, wy wszyscy ludzie dziewiętnastego wieku, prawie bez wyjątku. Opium was zabija. Nie to, co w proszku; ale duchowe, moralne, a raczej niemoralne opium. Jesteście wszyscy pijani, odurzeni wszelkiego rodzaju opjatami. Największa choroba wasza w tem, że każdy ma siebie za trzeźwego i zdrowego, a chorych nie chcą leczyć zdrowi.

To mnie rozdrażniło. Tak czy owak, zaliczył mnie do chorych i pijanych.

— Już też — rzekłem — gdyby tak źle było z nami, nie mielibyśmy tego olbrzymiego postępu, który zdumiewa z każdym rokiem, niemal z dniem każdym.

— Co wy nazywacie postępem? — zawołał mój gość opryskliwie. — Cofacie się; i wam się zdaje, że idziecie naprzód. Straciliście nawet poczucie oświaty, pojęcie o prawdziwej oświacie.

W tej chwili zakręcił jedną śrubkę na głowie.

— Co to za przyrząd? — zapytałem.

— Jest to kranioskopiczny regulator. Ilekroć się uniosę — a jestem z natury niecierpliwy i popędliwy — przekręcam sprężynę, która mi ściska pewien nerw na mózg działający; wtedy mówię spokojniej. Nie mam jeszcze dość mocy nad sobą, aby siłą woli w każdej chwili trzymać ducha w posłuszeństwie i kierować nim. Jeszcze dziedziczne choroby ducha, przechodzące z pokolenia w pokolenie, nie wyleczone we mnie zupełnie. Na to trzeba długich lat i pokoleń. Tymczasem należy mechanicznymi środkami zewnętrznymi wpływać na udoskonalenie duchowe.

Nie wątpiłem już, że mam do czynienia z człowiekiem obłąkanym.

— A te inne śrubki do czego służą? — spytałem

— Każda z nich ma odrębne zadanie do spełnienia. Działają na nerwy, które mają bezpośredni związek z mózgiem, a za pośrednictwem mózgu i całego organizmu — z duszą.

— Więc pan wierzysz w działalność nerwów?

— Któżby w to nie wierzył? Ale nerwy z płynami magnetycznymi, które zawierają w sobie, są tylko widzialnem narzędziem ducha; są, że tak powiem, dotykalnym duchem. Natura bowiem nasza dwoista. Środkiem, jądrem istnienia człowieka jest dusza, która ma wieczysty popęd przyrodzony objawiania się na zewnątrz i przyjmowania do wnętrza swego wrażeń zewnętrznych. Działanie zatem życia w pełni jest dwoiste: dośrodkowe i odśrodkowe.

— I to system! — rzekłem obojętnie.

— System? — wykrzyknął z pewną popędliwością gość mój; i zaraz mocniej śrubkę zakręcił. Poczem dodał spokojnie:

— Prawda, że to wy jeszcze nazywacie historyą filozoficznych systematów, to, co my w dwudziestym wieku nazywamy historyą głupstw ludzkich. W tem bagnisku niezgłębionem są dyamenty; ale wy je odrzuciliście, a wzięliście sobie tylko błoto. Prawdziwych mędrców wyśmialiście, a uderzyliście czołem przed Büchnerem i całą spółką szarlatanów. To, co mówię, nie jest systemem, ani moim indywidualnym wymysłem,

lecz prawdą jasną, jak słońce, starą jak świat. W dwudziestym wieku nikt już o niej nie wątpi.

— Powiedzże mi pan — zapytałem, starając się powstrzymać uśmiech — jakim sposobem urodziłeś się w dwudziestym wieku, a żyjesz w dziewiętnastym?

— Tego wy jeszcze nie rozumiecie, bo umysł wasz przywykł do dyalektyki i sofizmatów, które wam zupełnie zmąciły pojęcie o każdej rzeczy. Tobie tyle tylko powiem, że dla potrzeb wieczystych duch człowieka oddziela się, niby kropla od nieskończonego oceanu ducha, w różnych chwilach, bez względu na czas, i staje się jednostką w tej lub owej formie. Jak niema dla niego czasu, tak też niema przestrzeni. Tenże duch, dla potrzeb doczesnych, wstępuje w indywidualne ciało, będące owocem ogólnego społecznego ciała, lecz już w danej chwili, ograniczonej czasem i zawarowanej przestrzenią, a więc w pewnej koniecznej formie.

— Czy każdy człowiek ma tę dwoistą istność ducha?

— A nie! Jak różne są stopnie duchowego wyrobienia czyli ukształtowania się ducha, tak też rozliczne są jego własności. Wszak sami mówicie: to silny, dzielny, wyższy duch; tamto słaby, niedołężny, poziomy. Takich wyrażeń używają nawet ci, co w istność ducha nie wierzą, dlatego tylko, że nie umieją sobie zdać sprawy z jego istności. Owóż z duchem dzieje się zupełnie to samo, co z ciałem. Patrz na gimnastyka, albo na akrobatę, albo na angielskiego clowna. Co on zrobił z ciałem swojem? Do jakiego stopnia wyćwiczył je, albo udoskonalił! Zobacz znów tego niedołęgę ociężałego, który ledwie się rusza, lub tego innego, który czemkolwiek ciało swoje truje, niszczy. Porównajże go z dzielnym, muskularnym akrobatą!... Też same stopnie siły i też same objawy znajdziesz w rozmaitych duchach; a duch, podobnież jak ciało, potrzebuje ćwiczeń i nawyknienia do nich. Są ludzie, w których duszy tak mało, ale powiadam ci, tak mało, że jej prawie niema.

— Dobrze — powiedziałem, śmiejąc się — Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Ja wiem, że to nie jest odpowiedzią — rzekł mój gość — ale drogą do odpowiedzi. Dwoista istność ducha, jak ją niewłaściwie nazwałeś, a raczej dwoista

działalność ducha każdej jednostki zależy od owej gimnastycznej potęgi, którą mu się nadaje myśleniem i pracą, oczywiście przy zdolnościach wrodzonych. A wrodzone zdolności znowu nie przychodzą ni stąd, ni zowąd. Są one wynikiem pracy ducha poprzedników, przechodzącej z pokolenia w pokolenie w jakimbądź zawodzie, tudzież szczęśliwego wpływu okoliczności i normalnego rozwoju tak ciała, jako też władz duchowych. Tych trzech warunków potrzeba, aby w człowieku zjawiły się zdolności wyższe.

— Przecież widzimy — rzekłem — iż często ludzie słabi lub drobni ciałem, nawet ułomni, obdarzeni są nadzwyczajnemi zdolnościami.

— To prawda. Ale zboczenia przypadkowe, wyjątki są wszędzie. Wreszcie słabość, albo ułomność ciała, nie mówiąc o przyczynach wyłącznie fizycznych, jest często skutkiem zbyt silnej działalności ducha, kosztem fizycznego organizmu. Nie pokażesz mi jednak wielu geniuszów w schorzałem ciele. „Mens sana in corpore sano", umysł zdrowy w zdrowem ciele — mawiali Rzymianie i mieli słuszność. Patrzże na to schorzałe, blade, nędzne, próchniejące pokolenie dzisiejsze! tu zwłaszcza w waszej mądrej Europie. Na kogo spojrzysz: szpetny, albo przegniły, albo przesiąkły chorobliwemi pojęciami. Na kogo spojrzysz: widzisz niewolnika albo choroby, albo namiętności, albo głupstwa. Czyż to jest zdrowiem? czyż to jest naturalnym rozwojem praw przyrodzonych, wieczystych? Wszyscy są mniej więcej chorzy i zapełniają ogromny ten szpital, który się zwie Europą.

— Jakto? — zawołałem. — Więc według pana niema już u nas pięknych ludzi, ani zdrowych, ani...

— Ach! nie chwytaj mnie za słowa — odrzekł mój gość trochę niecierpliwiąc się — są. Lecz jakby nasienniki, zostawione przez prawo zachowawcze natury na rozpłodek, niby drzewa pozostałe tu i ówdzie w zrąbanym, spustoszonym lesie.

— Pan w postęp nie wierzysz, nie widzisz go w niczem?

— Przyznam ci: ilekroć słyszę ten wyraz p o s t ę p, zawsze śmiać się mam wielką ochotę, choć byłoby czego płakać. Wam się zdaje, że zrobiliście ogro-

mny postęp, gdy przesyłacie myśli po drutach, słowa za pomocą telefonu, gdy jeździcie szybko koleją, gdy zajadacie zgniły ser, żywe morskie potwory, śmierdzące bekasy i dobrze przyprawione szczury, jeśli nieprzyjaciel kraj napadnie i oblega naród w jego stolicy. Wam się zdaje, że robotnik stokroć szczęśliwszy dzisiaj, rozlegając się na włosiennych materacach politurowanej kanapy lub idąc na bal w mocno nakrochmalonych, bawełnianych albo papierowych kołnierzykach, niżeli dziki niegdyś Amerykanin (którego, nawiasem mówiąc, nieproszeni ucywilizowaliście po swojemu); że szczęśliwszy, niż cichy pracownik dawnych wieków, rolnik, pastuszek, dla którego miękkiem posłaniem była trawa, rozkoszą — widok natury.

— Zatem, według pana — przerwałem szyderczo — szczęśliwszym był niewolnik średniowieczny, będący całe życie na posługach rycerza, pysznie siedzącego w swym zamku, obchodzącego się z poddanymi jak z trzodą bydląt?

— Zawsze łapiesz mię za słowa — odpowiedział mój gość spokojnie. — To nic dziwnego. Jest to owoc waszego wychowania, owoc XIX wieku. Jeżeli dawniej było źle, nie idzie za tem, żeby dzisiaj było lepiej. Złe tylko postać zmieniło. Despotyzm taksamo gnębi ludzkość jak dawniej. W tem tylko różnica, że kajdany ukuto z innego materyału, a postęp wasz zrobił je niewidzialnym mechanizmem.

— Nie rozumiem tego dobrze — odpowiedziałem.

— A wszakże jesteś postępowym człowiekiem — rzekł gość z szyderstwem, które mię trochę obraziło — i nie dostrzegasz sprężyn tego mechanizmu!

— Przyznaję, że ich nie widzę — rzekłem. — Widzę we wszystkich krajach rozwój wolności coraz większy.

— I coraz większy rozwój swawoli! Swawola u góry, swawola u dołu! A cóż jest s w a - w o l a, to jest samowola jednostek z pogardą wszelkich praw, jeśli nie despotyzmem? Zdeptaliście prawa wyższe; daliście władzę byle zręcznemu szarlatanowi.

— Któż prawa pisze, jeśli nie naród, jeśli nie reprezentanci narodu? Tak przynajmniej jest dzisiaj w krajach liberalnych.

— Cha, cha, cha! — rozśmiał się na całe gardło człowiek XX wieku. — A kto je wykonywa? Kto ich strzeże? Kto ma moc je zniszczyć?... Reprezentanci narodu! — dodał ironicznie. — Szumne słowa! Przedstawiciele woli narodowej, potrzeb kraju, prawodawcy, deputowani, posłowie, którym rozdają ordery, rangi, portfele! A przecież nie naród ich wynagradza! Upojeni oficyalnymi dziennikami, odurzeni kadzidłem, zapominają o swych zasadach lat młodzieńczych i o mandatach swych wyborców. A wy, niewolnicy XIX wieku nie widzicie nawet tego, że pierwszem ogniwem łańcucha, krępującego społeczeństwo, pierwszym motorem despotycznego mechanizmu, o którym dopiero mówiłem, jest system wyborczy.

Spojrzałem zdziwiony na mego gościa, który, jak Wagner muzyki przyszłości, był twórcą jakiejś polityki przyszłości.

— System wyborczy? — zapytałem nieśmiało. — Ten owoc postępu wolności, dzięki któremu każdy mieszkaniec jest obywatelem, a każdy obywatel ma prawo obierać tłumacza swoich potrzeb i zasad?

— Tak. System wyborczy — odrzekł — dzięki któremu każdy głupiec jest narzędziem w ręku zręczniejszego. Pokaż mi choć jednego wyborcę z ciemnej, a więc najliczniejszej klasy ludu, któryby wotując umiał sobie dokładnie zdać sprawę z tego, co czyni. Wszak u was w Europie całej upowszechnił się potwór, pożerający społeczeństwo. Nadaliście mu legalną formę, godziwe znaczenie, i nie wstydzicie się nawet tego. Ten potwór nazywa się wyborczą agitacyą. Cóż to znaczy? Ciemnemu tłumowi dawać obiady, wino, wódkę; rozdawać mu pieniądze; oszukiwać, intrygować. I to się nazywa agitacyą wyborczą! W biały dzień odgrywa się najohydniejsza komedya, a nikomu do głowy nie przyjdzie nazwać rzecz właściwem jej mianem. Pojmuję, że w wielu krajach inaczej działać nie można. Ale dlaczegożeście narody doprowadzili do takiego stanu? „Potrzeby!“ „Zasady!“ mówisz. Czyż ciemny obywatel, choć wolny, ma pojęcie o rzeczywistych potrzebach kraju, o celach wyższych? czyż ma jakiekolwiek pojęcie o tak zwanych zasadach, o posłannictwie ludzkości, kiedyście mu prawdziwego nie dali ukształcenia?

Milczałem. Uczułem ze wstydem, że mnie przekonał. Polityk XX. wieku przechadzał się po pokoju nieco wzruszony.

— Oświata jednak w XIX. stuleciu — rzekłem — olbrzymi zrobiła krok naprzód.

— Ach! co wy nazywacie oświatą? — zawołał niecierpliwie. — Czytać, pisać i umieć cztery działania arytmetyczne!

— Mamy przecież ludowe pisma — odpowiedziałem. — Ponieważ lud umie czytać, może z nich korzystać!

— Tak! ludowe pisma, które albo usypiają, albo szerzą nienawiść niższych ku wyższym pod najpiękniejszymi pozorami! Jakże wy chcecie, aby lud te pisma, przeznaczone dla niego, dobrze rozumiał, kiedy on nie zna zasadniczych praw człowieka i warunków normalnego społecznego ustroju?

Zacząłem słuchać z większą uwagą, dziwiąc się, że człowiek, który urodził się w 1921 roku tak dobrze wiedział wszystko, co się działo w XIX. wieku, choć jeszcze pojęcia o stosunkach naszych, jakie wygłaszał, nie były spisane, bo nikt ich nie miał.

— Nie wszystko — rzekłem — można odrazu zrobić.

— Ależ trzeba zacząć przynajmniej! A wy w waszym postępie wszystko robicie dla ciała, nic dla ducha; nic dla podniesienia moralnej godności człowieka. Cała godność wolnego obywatela polega na tem, iż głupi i ciemny z pogardą patrzy na rozumniejszego lub rzeczywiście oświeconego. A nieszczęśliwy (dzięki waszym prawodawcom i ekonomistom) nienawidzi szczęśliwszego i radby go w łyżce wody utopić. Pożeracie się nawzajem, jak drapieżne zwierzęta i to nazywacie postępem!

— Tak zawsze było.

— A więc nie mówcie, żeście postąpili naprzód, kiedy tak zawsze było i dziś tak jest.

— Walka jest koniecznym warunkiem życia.

— Kto was tego nauczył! — wykrzyknął. — Absurdum! Walka jest dążeniem do śmierci, a człowiek powinien doskonalić się i dążyć do spokoju. Jeżeli walka jest warunkiem życia, to nie widzę różnicy mię-

dzy życiem ludzi a życiem zwierząt. W tym względzie nawet najniższe zwierzęta mają jeszcze wyższość nad ludźmi, gdyż nie pożerają się nawzajem, jeśli do jednej należą klasy.

— Czyż można — rzekłem — zaprzeczyć doskonaleniu się ludzkości pod każdym względem?

Mój gość wzruszył ramionami i długo, nic nie mówiąc, przechadzał się wzdłuż i wszerz pokoju. Wkońcu ozwał się, stanąwszy przede mną:

— Zacznijmy od ciała. Pokaż mi statystykę ludzi ze zdrowymi zębami w waszej oświeconej ludzkości; pomówimy wtedy o waszem doskonaleniu się.

Uśmiechnąłem się. Jak można było sprzeczać się z szalonym, który cywilizacyę społeczeństwa mierzył ilością spróchniałych zębów!

— Nie śmiej się — rzekł. — Spytaj fizyologa, co znaczą zęby w organizmie człowieka. A spytaj antropologa, czy też psychologa, jaki wpływ wywiera na umysł trawienie. Czy choć jednemu z medyków całej kuli ziemskiej, czy choć jednemu z filozofów waszego stulecia przyszła myśl zebrania wielkiego kongresu uczonych na naradę: co robić, aby zapobiedz tej powszechnej klęsce, która prócz dolegliwości nieobrachowane pociąga za sobą następstwa?

Dziwną mi się wydała ta filozofia XX. wieku, która, jak się zdaje, reformę społeczną miała ochotę zacząć od wzmocnienia zębów. Nie przerywałem jednak temu filozofowi, który dalej mówił:

— Ale u was taki porządek: myślicie o udoskonaleniu kłódek, o niezdobytych skrzyniach żelaznych, rozdajecie za nie nagrody rzemieślnikom, a nie myślicie o tem, żeby nie było złodziei. Zwołujecie kongresy dla niesienia pomocy rannym w czasie wojny, a nie troszczycie się, aby zapobiedz wojnom i ranom. Budujecie coraz większe więzienia, a nie staracie się o zniszczenie lub przynajmniej o zmniejszenie zbrodni i wprowadzenie sprawiedliwości wraz z pokojem. Wszystko u was na wspak do góry dnem. I pysznicie się oświatą.

Sumienie mi mówiło, że ten dziwak miał słuszność.

— Oddawna — powiedziałem — zwrócono uwagę na fizyczne i moralne doskonalenie się naszego pokolenia. Hygiena stała się jedną z zasadniczych nauk me-

dycyny. Zwrócono się do natury. Wychowanie dzieci jest przedmiotem troskliwości wszystkich.

— Wychowanie dzieci! — zawołał. — Hygiena! Wszystko to bardzo piękne w teoryi, w książkach, na papierze. Ale gdzież zastosowanie? Dzieci kaleczą, psują, upajają, demoralizują, zabijają wprzód, nim zaczną chodzić. A gdy zaczną biegać, robią z nich małych dyabełków, wychowując tak, aby zmieniły się później w szatanów.

— Przesada! — odrzekłem, znudzony już trochę przekornym pogiądem na wiele rzeczy, jakim odznaczał się ów filozof.

— Nazywasz to przesadą? Idź w pierwszem lepszem mieście na plac, gdzie zbiorą się piastunki z dziećmi. Te opiekunki młodego pokolenia w zastępstwie matek, mające czuwać nad całością przyszłych filarów społeczeństwa, umizgają się do żołnierzy i czeladników przechodzących, lub przybyłych na rendezvous. A tymczasem, żeby dzieci nie płakały, krzykliwszym pakują w usta kneble, wytoczone przez tokarzy umyślnie w tym celu, nakształt ogórka. Nic pocieszniejszego, jak i smutniejszego zarazem, jak widok tych przyszłych obywateli, tych przyszłych matek rodu ludzkiego, leżących w wózeczkach na wznak z zakneblowanemi ustami. Nieszczęśliwe te istotki, już w pierwszym roku życia męczone, skazane na milczenie i tortury, zaledwie oddychać mogą; połykają łzy; wytrzeszczone oczy zwracają ku słońcu, które je pożera, zanim nafta przy pracy naukowej, gdy podrosną, dokona reszty na pociechę medyków i optyków. Zwróć uwagę na dzieci, które już wyszły z kolebki, które nie leżą w wózeczkach, lecz zaczynają chodzić. Na sto dzieci jest przynajmniej ośmdziesiąt rachitycznych, z krzywemi nóżkami. Tych nadzwyczajna jest ilość zwłaszcza w plemionach germańskich. Gdy wożą je w wózeczkach to zawsze wstecz, w tył. Jakże ludy, od dzieciństwa nawykłe chodzić krzywemi nogami lub posuwać się wstecz, mogą iść prosto i naprzód, gdy już do własnych sił dojdą? Rzuć teraz okiem na dzieci starsze, biegające. Dziewczynki wystrojone z wymuszoną wytwornością. Nie byłoby w tem nic złego, gdyby matki nie uczyły ich zawczasu próżności i zazdrości o stroje. Ale matka codziennie

przypomina kilkoletniej córeczce, że jest śliczna i przyzwyczaja ją do podziwiania samej siebie w zwierciadle. Córeczka kłóci się z rówieśniczką, dowodząc, że jej sukienka ładniejsza! Smutniejszy jeszcze widok przedstawiają chłopczyki! Już w pięciu latach uzbrojeni pałaszami, strzelbami, lancami, w kaskach na głowie, w mundurkach, oswajają się pomału z niewolnictwem, z myślą mordów, grabieży, wojny; ale nie w obronie ojczyzny, o której pojęcia mieć nie mogą, której nazwiska nawet nie znają. Nienawiść bliźniego jest pierwszem uczuciem, które wpajają w dziecięce umysły we wszystkich krajach Europy, zwanych chrześcijańskimi, cywilizowanymi. Takim jest początek edukacyi u nas.

Człowiek ten, którego obłąkanie zdawało mi się niewątpliwem, zdejmował niby maskę z siebie. Rozumowanie jego stawało się dla mnie coraz jaśniejszem. Błysnęła mi myśl, czy też rzeczywiście my wszyscy, ludzie XIX. wieku nie jesteśmy w obłędzie? Ale tę myśl szybko i z dumą odtrąciłem, przypomniawszy sobie olbrzymie, zdumiewające odkrycia naszego stulecia.

Wstyd mi było wprawdzie słyszeć o rzeczach, na które codziennie patrzałem, nie widząc ich, nie zastanawiając się nad niemi; a słyszeć o nich od człowieka, którego miałem za waryata. Lecz pocieszyłem się przypuszczeniem, że ów dziwny filozof, czy filantrop miał tylko pewną monomanię, albo ten stopień pomieszania, który nazywają jasnem szaleństwem, folie lucide. Mój nieubłagany gość na tem nie poprzestał i dalej rozwijał swój pogląd na kierunek oświaty naszej.

Przechadzaliśmy się długo w milczeniu oba, mierząc powolnymi krokami pokój od drzwi do okien. Mój towarzysz był zamyślony; nie wiedziałem, co mówić. Patrzałem tylko na niego czasem z ukosa, z pewnem niedowierzaniem. Nagle zwrócił badawczy wzrok na mnie i, zatrzymawszy się, zawołał:

— Wszystkiemu ty jesteś winien, ty, ty!

— Co pan przez to chcesz rozumieć? — spytałem z niechęcią, oddawna już drażniony tonem i formą poufałą, od której nie mogłem go odprowadzić, pomimo nacisku pewnego, jaki kładłem na wyraz „pan“, przyjęty w naszym języku przy rozmowie z osobami, stojącemi

poza obrębem poufałych stosunków. Nie rozumiałem także, czemu obwiniał mnie na równi z innymi.

— Widzę — rzekł, patrząc na mnie przenikliwie, że cię razi nawet forma, w jakiej odzywam się do ciebie.

— Nie przeczę — odpowiedziałem.

— Jacy wy konwencyonalni wszyscy! U was forma pochłania treść. Straciliście wzrok dla treści. Nie widzicie jej. Nie jestem ja bynajmniej nieprzyjacielem formy. Przeciwnie, przywiązuję do niej wiele wartości. Każdy przedmiot, czy to w dziedzinie nauki, czy sztuki, czy też w stosunkach społecznych powinien mieć właściwą formę. Ale potrzeba, ażeby ta forma była logiczną i estetyczną zarazem. W języku polskim wyraz „pan“ przy rozmowie wzajemnej jest conajmniej śmiesznym, a nosi w sobie cechę niewolnictwa. Nie znał go dawniej naród. Ten wyraz wprowadzono dopiero wtedy, gdy Polska straciła wolność i zatarła znamiona braterstwa. Stokroć lepsze „wy“. Ale my w dwudziestym wieku przyjęliśmy od starożytnych Rzymian bardzo dobry, zdaniem naszem, i naturalny w rozmowie z równymi wyraz: „ty“. Wszak Rzymianie tej formy używali nietylko pomiędzy sobą, lecz nawet przemawiając lub pisząc do Konsulów i Augustów. A nikt im nie zaprzeczy ogłady obyczajów, ani etykiety. Wy jednak od Rzymian i w ogólności z całego, tak zwanego, klasycznego świata, wzięliście tylko to, co złe, co ciasne, sztywne, suche, niewolnicze, a nic dobrego. Z tej przyczyny do końca ośmnastego, a nawet do początku dziewiętnastego wieku umysł ludzki był spętany w okowach, z których dotąd wydobyć się nie może. Od Rzymian przyjęliście wszystko, co było najohydniejsze: zacząwszy od praw, które dotąd profesorowie uniwersytetów waszych uważają za szczyt mądrości, zacząwszy z drugiej strony od najobrzydliwszych bizantyńskich ceremonii i tytułów, skończywszy na przepychu i rozpuście. Świat zaś ideałów greckich starożytnych zaledwie niekiedy, jak duch opuszczony, zabłąka się pośród was. Znaleźliście tylko dla niego miejsce w muzeach!... Wierzaj mi: hańba postępowi!

Tu zamyślił się i westchnął. W oczach jego błyszczał płomień, jakiego dotąd nie dostrzegłem. Po chwili zaczął znów mówić:

— Czyliż wam znane jest bohaterskie poświęcenie dawnych Greków?... Czyż macie pojęcie o tych olbrzymich dziełach, o tych wytrwałych wyprawach, dokonanych w imię idei wyższej, dla wyższego celu, częstokroć bez korzyści, bez cienia samolubstwa? Czyż wy z waszą na całej kuli ziemskiej miliardową ludnością, z waszemi wiedzami, z waszemi maszynami, bylibyście zdolni uczynić to, czego dokazali Grecy z garstką dzielnych, pod wodzą genialnych? Tam miał mędrzec, poeta, artysta nieprzebrane skarby materyałów, niewyczerpane zdroje natchnienia... Cóż u was znajdzie? Fabrykanci, kupcy... Jakżeście skarłowacieli!...

Po tych słowach chmura smutku pokryła czoło mówiącego. Usiadł i po krótkim namyśle ozwał się znowu:

— Bardzoście biedni! Gdyby nie litości, bylibyście pogardy godnymi. Wyraz idea nie istnieje już w mowie waszej. Znaleźć go można chyba w starym, zapylonym słowniku. Ale go nawet objaśnić, określić nie zdołacie. A nie wiecie, iż to potęga większa niż wszystkie razem wzięte wasze motory, niż wszystkie wasze pary, niż wszystkie wasze maszyny o stu milionach koni!... Straszny upadek! A zaślepienie wasze jeszcze straszniejsze! Przewrócono wam mózgi!

Patrzałem z pewnem przerażeniem na tego człowieka, który z takim zapałem mówił o ludzkości, jak gdyby była dzieckiem jego. Tembardziej się zdziwiłem, gdym zobaczył, że zdjął zupełnie obręcz z głowy i miał łzy w oczach.

— Potrzeba was ratować!... — zawołał z westchnieniem. — Stoicie nad przepaścią... Nie was mnie już żal... wy przywykliście do obroży głupstwa, którą nosicie na karku... wy przywykliście być zawsze gotowymi na rozkaz świstawki, skądkolwiek ona pochodzi... czy z kotła, czy z ust pastucha, który stoi nad wami z batogiem w jednej, z dywidendą w drugiej ręce. Ale mnie żal waszych wnuków... moich braci rówieśnych!... Trzeba was ratować, abyście ich za sobą nie wciągnęli w przepaść. Wtedy ludzkość cofnęłaby się o tysiące lat! A bracia moi!... bracia moi!...

Zasłonił twarz rękoma i długo dumał. Wreszcie podniósł głowę.

— Tak!... — zawołał. — Europa to wielkie Bizancyum, co przez lat przeszło tysiąc konało. I żyć nie mogło! i umrzeć nie mogło!... Aż trzeba było je dobić!... Wy jesteście Bizantyńcami. Konacie, a wam się zdaje, że żyjecie!... Wszak znasz dzieje bizantyńskie?

— Znam — odpowiedziałem, patrząc mu w oczy ze współczuciem.

— Nie jestże to wasz obraz? Dwór, złoto, sofiści, rozpusta i ciemna gawiedź! Oto składowe części waszego społeczeństwa. I wy śmiecie mówić o postępie!

— Zapytam się nawzajem — rzekłem, ośmielony nieco jego serdeczną poufałością — czy znasz nasze szkoły?

— A! gdybym ich nie znał, tobym nie rozpaczał nad wami. Toż właśnie źródło wszystkich klęsk waszych.

— Cóż masz im do zarzucenia?

— Wszystko! Od A do Z. Z systematami kształcenia młodzieży to samo się dzieje, co z medycznemi metodami, co z hygieną. Opiekunowie społecznego ciała, złożonego z kości, z krwi, z mięśni, z nerwów, starają się leczyć wynikłe już choroby, a nie starają się im zapobiegać. Opiekunowie społecznego ciała duchowego, czyli umysłowego, jak chcesz je nazwij, chcą wznosić umysł z krainy ciemności ku światłu, chcą zarodki wiedzy wydobyć ze skorupy, w której są zamknięte, zmusić je do kiełkowania, do wzrostu, wydobyć na jaw, zabiwszy w nich przyrodzoną żywotną siłę, zwichnąwszy wrodzony popęd do życia, który pragną zastąpić sztucznymi środkami, zniszczywszy możność normalnego rozwijania zdolności według praw wieczystych. Systematów wychowania młodzieży mnóstwo jest w teoryi, na papierze: są nawet między nimi bardzo dobre, ale zastosowanie ich wszędzie niedorzeczne.

— Co nazywasz żywotną siłą w rozwoju władz umysłowych?

— Wolę. To c r i t e r i u m, to początek, podstawa zasadnicza wszystkich działań, wszystkich czynności człowieka. Mówią niektórzy: wola jest zależną od praw koniecznych, nieubłaganych, wieczystych, które nią rządzą, a zatem wola przestaje być wolą, czyli inaczej wyrażając się, właściwie w człowieku niema woli; jest on

niewolnikiem praw natury. Otóż w tem błąd! Trzeba rozróżnić co jest prawem natury w ogólności, a co jest prawem woli; bo każda z nich ma swoje odrębne prawa. A pierwej jeszcze trzeba odróżnić dwa rodzaje ogólnej natury. Natura jest dwojaka: Natura bez woli i natura z wolą. Pierwsza jest u n i v e r s u m ; druga jest świat organiczny zwierzęcy, którego wieńcem — człowiek. Z pierwszej wypływa wprawdzie druga i jest od niej o tyle zależną, o ile jest cząstką ogólnej natury; ale ta druga natura, czyli natura z wolą, jest wyższą od swojej macierzy, a wyższą od niej dlatego właśnie, iż obdarzona wolą. Co więcej: natura ogólna dając dostojnej swej córze, niby w posagu, wolę, zabezpieczyła sobie wprawdzie swoje przyrodzone, wieczyste prawa, których pozbyć się nie mogła, ale zarazem dała sama naturze obdarzonej wolą, prawo posiadania swych własnych praw. Najwyższym przedstawicielem natury z wolą jest człowiek. On tedy jest zarazem niewolnikiem i panem. Posłusznym być musi pewnym niezmiennym prawom; ale też wolą swoją naturze nawet, której jest dzieckiem, rozkazuje. Nie może naprzykład zniszczyć śmierci fizycznej; ale może, gdy zechce, powiedzieć górze: Ustąp mi z drogi! Burzo! nie lękam się ciebie. Mrozie! ciepło mi.

— Przypuśćmy, że tak jest — rzekłem. — Czemże się dzieje, iż widzimy czynności człowieka powtarzające się od wieków, jakby krążące w kółko? Statystycy dowodzą, iż w czynności ludzi, w niektórych naprzykład zbrodniach, uderza pewna systematyczność. Ta systematyczność widocznie jest zależną od pewnych pór roku, od klimatycznych wpływów i tym podobnych czynników przyrody. Dowodzą tego wymownie liczby.

— Statystyka jest bardzo ważną nauką i wielkie światło rzuca na rzeczy, dotąd nie dość zbadane, lub niedocieczone. Ale niektórzy statystycy-filozofowie śmieszni są ze swoją zarozumiałością, gdy z cyfr, jakie mają przed oczyma, chcą tworzyć ogólne twierdzenia, które podają jako pewniki. Zapominają o tem, że statystyka zaledwie sto lat liczy istnienia, a wyższy jej rozwój nie sięga dalej, jak połowy bieżącego wieku. Zapominają, że tego rodzaju postrzeżenia niczego jeszcze nie dowodzą wobec życia ludzkości, liczącej już kilka-

naście, a może kilkadziesiąt tysięcy lat. Zapominają wreszcie, że ludzkość długą jeszcze, bardzo długą ma przyszłość przed sobą nawet tu na ziemi, chociażby ziemia po milionach lat zamieniła się w bryłę lodu, jak zapowiadają. Przytem na to zwrócić trzeba uwagę, iż, przyjąwszy nawet peryodyczność powtarzających się czynności człowieka, owa peryodyczność pochodzi właśnie z istniejącej ciągle jednej i tej samej przyczyny. Gdyby usunąć przyczynę, znikłyby skutki. Tolenda causa tolitur efectus. A cóż jest tą nieustanną przyczyną jednostajnych czynności ludzkich? Właśnie wola człowieka, od wieków źle kierowana. Wola normalna, zdrowa, powinna mieć w sobie przyrodzony popęd do rozwijania się i do działania według wieczystych praw natury. Wtedy tylko jest prawdziwą wolną wolą, godną mądrego, normalnie rozwijającego się człowieka. Słusznie powiedziano, iż wolność jest posłuszeństwem prawu. Tak też wola czysta, czyli wolna, powinna ulegać czystym, bo wieczystym prawom doskonałej natury ogólnej.

— Jakiż jest sposób — zapytałem znowu — dobrego kierowania wolą młodych umysłów, nie umiejących jeszcze użyć tej woli?

— Wychowanie! Kształcenie umysłu! — odrzekł mi filozof z zapałem. — To właśnie jest cała mądrość. Przysłuchiwanie się głosowi natury, który wskazuje woli dobry kierunek i nigdy się nie myli, ani zmyli z drogi idącego za dobrą wolą. Ale nie przyznawać w człowieku nawet istnienia woli, jak chcą dzisiejsi filozofowie wasi, zwani pozytywistami, jest największą niedorzecznością w dziejach myśli ludzkiej.

— Wszak sam powiedziałeś, że dzisiejsi ludzie dziewiętnastego wieku są niewolnikami, że ulegają działaniu pewnej społecznej maszyny, despotyzmowi pod rozlicznemi postaciami.

— Niewątpliwie! Ale jeżeli tak jest, czyż idzie za tem, że tak być powinno? Czyż mędrzec ma wyciągać wnioski z faktów, jakie przedstawia wykoszlawiona, skrzywiona natura? To byłaby filozofia du fait accompli, niby polityka du fait accompli, którą przyjęli najprzewrotniejsi statyści, jak ich nazywacie „mężowie stanu“, wielcy mistrze dzisiejszej polityki. Godni pręgierza i pogardy, a stoją na wyżynie społeczeństwa, na

piedestałach, bo... ich społeczeństwo samo tam postawiło!

Potarł czoło i zaczął przechadzać się żywo.

— Człowiek nie ma woli! — zawołał szyderczo. — Prawdą jest, że dzisiejszy człowiek XIX. wieku, ów zbiorowy niewolnik systemu, nie ma woli. Wiem o tem doskonale. Patrz — maszerują jak automaty! Patrz na tamtych!... jak ich kość pacierzowa zgina się!... jak kłaniają się!... jak się łaszą!... Ależ ja mówię o ludziach z dobrą czy złą wolą.

— A więc jest zła i dobra wola?

— Oczywiście. Ale z przyjętej zasady, że człowiek nie ma wcale żadnej woli, z tak błędnej, z tak bezrozumnej zasady wypływa bezwarunkowe niewolnictwo we wszystkich objawach życia społecznego, zastój i cały szereg zgubnych, niezliczonych następstw. Wy nad tem nie zastanawiacie się, że ci, co wam prawią o braku wszelkiej woli w człowieku, są najstraszniejszymi wrogami ludzkości.

— Przecież każdemu wolno mówić i dowodzić co mu się podoba, w imię tejże wolności, w imię wolności słowa — rzekłem nie wierząc sam w to, com mówił.

— A! przepraszam. Nie każdemu wolno być głupim bezkarnie. Nie każdemu wolno dowodzić, że dwa razy dwa — pięć. Nie każdemu wolno, w imię wolności ruchów ręki, podpalać. Dla takich co szkodzą społeczeństwu: dom obłąkanych albo więzienie. Gdyby przyjąć niedorzeczną zasadę materyalistów, że czynności człowieka ulegają bezwarunkowo nieubłaganemu jakiemuś fatalizmowi, tożby trzeba znieść wszystkie sądy i zniszczyć wszystkie więzienia; trzebaby wybaczyć wszystkie zbrodnie i znieść wszelką za nie odpowiedzialność. Za cóż macie karać niewinnych, jeśli oni postępują nie według własnej woli, gdyż jej nie mają, lecz według jakichś ślepych praw konieczności? Ale taka jest logika waszego postępowego wieku!... Wyrzekliście się woli, albo skrzywiliście ją i nie macie nawet odwagi ogłosić za tyranów lub szaleńców tych, którzy taką zasadę podnieśli do wysokości nauki. Co za szalone absurdum twierdzić, że człowiek nie ma woli, gdy myślą wzlatuje gdzie chce, ręką rusza kiedy chce! Wola moja wprawdzie jest ograniczoną, bom

ja tylko atomem wobec olbrzymiej natury, ale nie mniej potężną dźwignią, źródłem, warunkiem rzeczywistego postępu. Pomimo ograniczonego jej zakresu, wielkim jest czynnikiem. Oto moje ręce! Nie będę żądał czego nie mogę, czego nie powinienem zrobić; ale tymi dziesięciema palcami zrobię co zechcę.

Tu filozof zbliżył ręce do mojej twarzy. Zadrżałem. Przyszło mi na myśl, że w zapale, dla większego przekonania o swej teoryi, zechce mnie udusić. Ochłonąłem, gdym zobaczył, że nałożył znów na głowę swoją obręcz i jakieś śrubki przekręcił. Usiadł, założył ręce na piersiach i dumał.

— Ile razy mówię o wychowaniu dzieci i młodzieży — rzekł już spokojnie — nie mogę mówić o tem z zimną krwią. Powiadają mi o despotyzmie starożytnych, średniowiecznych panów!... Dawniej działał miecz, kij, batóg... dziś!... ha! dziś to samo: miecz, kij, batóg, tylko innego kształtu i nie tak jawnie jak niegdyś; za to te wszystkie narzędzia mają dzielnych zastępców... dziś działają wszczepione od dzieciństwa błędne pojęcia, z których wyrastają straszliwe tortury dla ducha i ciała: przewrotny albo głupi język, nikczemne albo głupie pióro. Czy rozumiesz mnie? To są najstraszniejsi despoci!

— Rozumiem — odpowiedziałem, wzdychając. — Ale mówią wszyscy, że inaczej być nie może.

— A to niechże mi nie prawią o postępie! — zawołał oburzony filozof XX. wieku. — Męczą ducha i mówią że ducha niema!... Męczą i ducha i ciało, a mówią, że tortur już niema!... Nie czują hańby ani bólu; otrętwieli; a mówią o emancypacyi ciała!... To prawda! — dodał z gorzkiem szyderstwem. — U was niema już ani ducha ani ciała. Nagalwanizowane trupy!... Jakaś niekształtna bryła ruszającej się materyi, puszczonej w nieświadomy bieg siłą. „Stoff und Kraft“; kowadło i młot! oto społeczeństwo XIX. wieku. Ale ludzi niema!... niema!... — zawołał z boleścią, opierając czoło na dłoni.

— Są — odrzekłem. — Nie trzeba tak czarno na nas patrzeć!

— A! są!... — ozwał się z goryczą. — Iskry...

przepalone iskry... spadające z pod młota żużlami!... Młot zabija wszystko!

Po chwili namysłu tak dalej zaczął mówić:

— Weź naprzykład w Europie, a choćby nawet i w Ameryce, pierwszy lepszy kraj dobrze zorganizowany, swobodny, jak mówicie, ubezpieczony konstytucyą, rządzący się prawami, oświecony, postępowy. Zacznij z dołu od początku. Jak to się u was robi? Urządziliście doskonale kraj; jesteście na świetnej drodze postępu; więc trzeba tylko dalej rozwijać zaczęte już dzieło... a, właściwie mówiąc, trzeba z a c z y n a ć, bo wy ciągle zaczynacie, nigdy niczego nie doprowadziwszy do końca. Cóż tedy robicie? Oto przy trąbach i bębnach, za pomocą dzienników i plakatów, wśród wrzawy i kieliszków czynicie pierwszy krok... bo to jest u was pierwszym krokiem... wzywacie lud do wyborów. Pozbawiliście go woli; pozbawiliście go światła; i mówicie mu: rób co chcesz, powiedz czego chcesz! Ten lud (nauczony już przez was) woła: „Pragniemy światła! Pragniemy praw! Chcemy mieć dobry rząd, rozumnych przewodników, sprawiedliwych sędziów, sumiennych wykonawców“.

Bardzo pięknie. Bardzo postępowo. „Będziecie mieli to wszystko — powiadacie im — wybierajcie zatem tych, a nie wybierajcie tamtych“. Zaczyna się tedy owa w y b o r c z a a g i t a c y a, którą nazwałem pierwszem ogniwem łańcucha krępującego społeczeństwo, pierwszym motorem despotycznego mechanizmu. Lud abdykuje na rzecz przebiegłych intrygantów (złych czy dobrych, ale zawsze intrygantów). Lud wyrzeka się najdroższego skarbu, jaki mu dała natura, wyrzeka się własnej woli. Od pierwszej chwili jest niewolnikiem, w imię wolności, i co gorsza! mniemając że jest wolnym. Ale inaczej zrobić nie można!... Tak urządziliście społeczeństwo; tak uorganizowaliście system waszej wolności, owoce waszej postępowej oświaty!... Suffrage universel! Powszechne głosowanie!... — dodał z gorzkim uśmiechem. — Najdzielniejsze narzędzie dla despotów i pysznych intrygantów, chciwych władzy. Doprowadzili lud do ciemnoty, rozbudzili w nim wszystkie żądze, wszystkie namiętności, rozpoili go, zmienili w bezrozumny motłoch bez woli własnej; i powiadają

mu: „rządź się sam; wybieraj sobie prawodawców, mów czego ci potrzeba!“ Miliony ludzi, nie mających najmniejszego pojęcia o rzeczy, decydują o losach krajów dzisiejszych, o losach przyszłych pokoleń nawet, składając te losy w ręce obranych kierowników. Częstokroć sami kują dla siebie kajdany, nie wiedząc o tem; i wy ludzie postępowi, oświeceni pozwalacie na to!

— W krajach konstytucyjnych — odrzekłem — czyni się jednak co można dla zadośćuczynienia sprawiedliwym żądaniom ludu.

— Tak — odparł szyderczo filozof — lud pragnie światła, dają mu ciemnotę; lud pragnie praw, dają mu bezprawie ubrane w formę staro-rzymskiej legalności: lud pragnie sprawiedliwości, dają mu stosy stemplowanego papieru, z którym nosi się, nie rozumiejąc nic, od pokątnych pisarzów i adwokatów do trybunału, od jednego miata do drugiego, od stolicy prowincyi do stolicy państwa.

— Nie można żądać, aby lud nie miał żadnego udziału w sprawach publicznych — rzekłem przerywając memu zapalonemu mówcy, jakkolwiek w części podzielałem jego zdanie.

— Któż o tem mówi? — zawołał nieco poruszony. — Ale trzeba aby lud najprzód zrozumiał co są publiczne sprawy; aby wprzód nauczył się społecznego katechizmu! Tymczasem, niech każdy obywatel działa na publicznem polu; lecz każdy w swoim zakresie. Dla włościanina, który nie widzi dalej, jak granice swojej zagrody, wsi, lub powiatu, zakresem: zagroda, wieś, powiat.

— Rozpowszechnione szkoły — wtrąciłem — zaradzą złemu.

— Szkoły!... — wykrzyknął niecierpliwie filozof XX wieku. — Circulus vitiosus! Błądzicie w kółko. Któż wychodzi ze szkół? Po większej części, z nader małymi wyjątkami, po większej części, mówię, ci, którzy sami oszukiwani lub obałamuceni przez profesorów, potem lud oszukują lub bałamucą słowami i pismami. To są reprezentanci narodu, przewodnicy inteligencyi!

Roześmiał się okropnym jakimś śmiechem, zbliżył się do okna; nagle zawołał:

— Patrz! Widzisz tego... tego... człowieka? bo i to się nazywa człowiek! Przypatrz mu się dobrze! Oto jest wasz XIX wiek.

Spojrzałem znowu, z pewnem współczuciem, bystro w oczy mówiącemu. Dziwny to jakiś szaleniec! — pomyślałem. — Czasem mówi logicznie, rozumuje z pewną świadomością tego o czem dowodzi; nagle miewa smutne napady, wyraźne symptomaty obłąkania. Po drugiej stronie ulicy, na chodniku, stał mężczyzna porządnie ubrany, średniego wieku, szukając, jak się zdawało, numeru domu, albo jakiego magazynu. Obrócony był twarzą do hotelu. Wązka ulica Färbergasse dozwalała przypatrzyć się mu doskonale. Opasły, ciężki tułów na cieniutkich nóżkach wspierał laską z tyłu, utkwiwszy jej drugi koniec w przyległym domu. Zawalał sobą drogę wszystkim przechodniom. Niejeden spojrzał na niego z gniewem lub burknął jakie słowo niecierpliwie; ominął zawalidrogę i szedł dalej. Opasły jegomość nie ruszał się z miejsca. Nie chciał widzieć co się koło niego działo. Obelżywych słów nie słyszał a przynajmniej udawał, że ich nie słyszy. Na twarzy jego malowało się rozkoszne zadowolenie z siebie, błogi spokój człowieka co się dobrze najadł, ma pieniądze i o nic więcej się nie troszczy. W tej postaci, jakich zresztą spotykać można na każdym niemal kroku, uderzał okrągły duży brzuch wysunięty naprzód. Z ramion spadało rozpięte, zwierzchnie odzienie, podobnego kroju jak wszystkie, które nie wiadomo dlaczego nazwano paltotami, niewygodne, ciasne w rękawach, odstające od pleców. Surdut rozkrywał szeroką pierś, na której marszczyła się kamizelka zapięta pod szyję, ozdobiona wąziutkim paskiem jedwabnym, otaczającym nizki kołnierzyk. Na krótkim, grubym karku wznosiła się głowa, zadarta do góry, pokryta kapeluszem, jak wszystkie. Z pod kapelusza widać było czoło płaskie, pod którem uwydatniały się policzki, krągłe, rumiane, z przylepionymi nakształt dwóch plastrów, „favorytami“. Broda starannie była wygolona w kółko wielkości talara. Brak wąsów odsłaniał zwieszone, grube, namiętne wargi, rozwarte ciągle i nieco skrzywione, jakby gotowe zawsze do uśmiechu. Ponad tłustą twarzą górował ogromny nos, z linią w kształcie wę-

żowych zagięć, na końcu opuchły, siny, bogato obsadzony pryszczami białymi i czerwonymi. Oczy podobne do małych, czarnych jagód, zaledwie dostrzec można było. Cała fizyognomia wyrażała głupotę, szczęście i pychę.

— Zabawna postać — rzekłem.

W tej chwili opasły pan ruszył się powoli, okazał gałkę laski wytwornie z kości słoniowej wyrobioną, zdjął rękawiczkę, błysnął pierścieniami, dobył cygaro, zapalił i potoczył się dalej rozpychając wszystkich przed sobą.

— Zabawna postać — powtórzył mój gość. — Nie o to chodzi, że śmieszna, ale patrz co to za typ! jaki to zajmujący przedmiot do badań dla psychologa i fizyologa! Naprzód zaręczam ci, że jest „wysoko i dobrze urodzony“ (hochwohlgeboren), a przynajmniej „wysoko urodzony“, chociaż nie rodził się na wieży, ani na poddaszu, a piastunka tylko, co go przyjmowała, najlepiej wie, jak mu się udało to pierwsze wystąpienie na świat. Szkół nie skończył. Haftowane herby musi mieć na skarpetkach i kuchennych ścierkach. Zapewne jest to jakiś R a d c a, który nikomu nic doradzić nie potrafi. Niewątpliwie jest prezesem wielu Towarzystw, z których ciągnie korzyść dla siebie. Lato przepędza u wód, żeby utyć, a zimę w Wiedniu u Schwendera, żeby schudnąć. Rozmawia z ministrami, jest wielkim protektorem baletu, i gra na giełdzie.

— Gdybyś żył nie w XX ale w XIX wieku — odpowiedziałem, śmiejąc się — nazwanoby cię czerwonym, r o u g e, i do towarzystwa „dystyngowanego“ nie byłbyś przyjętym.

— A ja wiem — odrzekł — że towarzystwo dystyngowane i oświecone, (dodał z przyciskiem) tj. ciemne jak najgłębszy kąt w piwnicy, dawno przestało być czerwonem, bo już rumienić się nawet nie potrafi. Ale badaj tego człowieka ze stanowiska naukowego. Powiedz, czy z tej bryły mięsa i łoju może wyjść jaka rozumna myśl? czy może w niej obudzić się jakie szlachetne uczucie?

Ruszyłem głową, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć.

— Z drugiej strony uważ, zbadawszy fizyonomię,

ruchy tej postaci, jaki jest fizyczny i duchowy stan waszego społeczeństwa, które wydaje z siebie taki owoc.

— Wszakże — wtrąciłem — wszyscy ludzie nie są podobni do tego opasłego zwierzęcia, przypuściwszy nawet, że takim jest jak sobie wyobrażasz.

— Znowu chwytasz mnie za słowa!... Ale to typ, wierny typ dzisiejszego wieku. Wiem, że są wyjątki. Jednak góry i doliny nie zmieniają kulistości ziemi. Wiem, że są ludzie kształtni i pięknie zbudowani; lecz tych coraz mniej, bo nieustanne wojny niszczą kwiat młodzieży, a złe wychowanie fizyczne i rozpusta nurtują zdrowie całych pokoleń. Wiem, że są ludzie wyżsi, zdolni, zacni; lecz to są niewolnicy waszej postępowej organizacyi, to są heloci waszych jaśnie oświeconych szczęśliwców, to są parjasy waszego liberalnego społeczeństwa, będąc zarazem pośmiewiskiem pierwszego lepszego dowcipnisia.

Gość mój nie spostrzegł się, że chociaż przekonany byłem o chorobliwym stanie jego umysłu, podzielałem z nim niektóre zdania, lecz starałem się zbijać je, aby tym sposobem lepiej zgłębić oryginalny ten sposób myślenia, nie przystający do naszego wieku. Odtąd przybrałem rolę otwartego przeciwnika. Postanowiłem sprzeczać się z nim o każde słowo.

— W rękopisie moim — rzekł obywatel z XX wieku, wskazując na zwój papierów, które przyniósł z sobą — znajdziesz obszerniej wyłożony cały pogląd na społeczeństwo dzisiejsze, o czem teraz wspominam tylko pobieżnie. Pamiętasz, co powiedziałem na początku naszej rozmowy, że dusza jako pierwsza iskra życia, jest rdzenną istotą człowieka, wieczysta, niezniknoma, w doczesnem, znikomem ciele przejawiona; że ma nigdy nieustający popęd przyrodzony objawiania się na zewnątrz za pośrednictwem cielesnego przyrządu, a nawzajem własność przyjmowania do wnętrza swego wrażeń zewnętrznych. Pamiętasz wyrażenie, jakiego użyłem, iż działanie życia w pełni, to jest życia będącego w zjednoczeniu duszy z ciałem jest dwoiste: odśrodkowe i dośrodkowe. Cóż to znaczy? Właśnie ów

popęd duszy, idący ze środka, ze rdzeni jestestwa człowieczego ku kształtom cielesnym, i owa własność duszy kształtowania się według wrażeń cielesnych, zewnętrznych, idących ku środkowi, ku duszy.

— Ale — przerwałem — w tem całe pytanie: czy istnieje dusza? a jeśli istnieje, co to jest ta dusza?

— A, kto nie widzi duszy rozumem, ten jej cielesnemi oczami nie dojrzy. Co jest dusza? Tego pytania nasz wiek XX nie rozstrzygnął i prawdopodobnie następne wieki niedaleko zajdą na drodze tych badań. Wy filozofowie XIX wieku macie tyle zarozumiałości, iż jeśli który z was wierzy w istnienie duszy, to zaraz wyobraża sobie, że ją może dokładnie zbadać i określić.

— Ja do tych nie należę — odrzekłem.

Gość mój, widząc, że się z nim często spieram, zwracając się do mnie, zawsze zdawał się mnie obwiniać o wszystko co się działo w XIX wieku; wyrazem: w y czynił mnie niejako solidarnym z tymi, których potępiał lub wyszydzał. Zaprotestowałem przeciwko temu.

— Nie mieszaj mnie ze wszystkimi — zawołałem, uśmiechając się. — Nie jestem twórcą ani kierownikiem społeczeństwa XIX wieku, nie zgadzam się z niektórymi poglądami spółczesnych, ale też...

Nie dał mi dalej mówić.

— Wiem o tem — odpowiedział, przerywając z pewną ironią — lecz mówisz w duchu swojego wieku, gdy mi zadajesz pytanie: co to jest dusza? Pytanie śmieszne! My stanęliśmy na tym stopniu oświaty, że nad tem głów nie suszymy czego nie możemy zbadać. Rozum XX wieku doszedł do pojęcia, iż on także ma swoje granice. Wieczyste prawo przyrody powiedziało mu: Stój! nie pójdziesz dalej. Praktyczność naszej oświaty polega na tem, aby badać własności i działanie duszy, a nie jej istotę. Powiedz mi: co jest tlen? co jest azot? co jest wodór? Odpowiecie mi: To są pierwiastki. Cha, cha, cha! A cóż to są pierwiastki? Wiecie, iż z tych lub owych pierwiastków składają się te lub owe ciała i na tem koniec! Nie badacie przecież natury tych pierwiastków do ostatecznych granic, bo ich zbadać nie możecie; ale zastanawiacie się nad ich

objawami i działalnością. Chemicy zaniechali rzeczy niepotrzebnych a zajęli się głównie zjawiskami, które podpadają pod ich uwagę i rozbiór; dlatego też świat cielesny, materyalny zrobił olbrzymi postęp. Trzeba to przyznać. To samo byłoby z duszą gdyby psychologowie troszczyli się więcej o zjawiska duszy w połączeniu z ciałem, a nie o jej istotę tajemniczą.

— Wszak w chemii, za pomocą rozlicznych doświadczeń, odkryto wiele rzeczy, które do niedawnego czasu były tajemnicą. Tym sposobem zedrą pomału zupełnie maskę z natury; zbadają istotę pierwiastków i ich źródło.

— Ich źródło!... powtórzył szyderczo. — Powiedzcie wprzódy dlaczego jedne i te same pierwiastki połączone razem, mają przy pewnych warunkach, własności trujące, zabójcze dla organizmu, a też same pierwiastki inaczej połączone, chociażby nawet w podobnej ilości, nie są bynajmniej organizmowi szkodliwe? Cóż dopiero mówić o ich źródle?!... skąd powstały? jak się utworzyły?!... A czy kto zbadał co jest elektryczność? To przecie dusza fizycznej natury!

— Lecz cóż to ma za związek z owym tłustym panem, któregośmy widzieli na ulicy i z owem odśrodkowem działaniem życia w pełni? — spytałem patrząc litośnie na filozofa.

— Zaraz to wyjaśnię. Gdyby, jak powiedziałem, mniej zastanawiano się nad istotą duszy (czego nigdy nie zbadają, gdyż jest niewidzialną sama w sobie) lecz nad jej zjawiskami, (nie sprzeczając się o to czy dusza jest czy jej niema), wówczas ludzkość wielkie z takich doświadczeń odniosłaby korzyści. Ów tłusty, typowy obywatel XIX wieku wyrósł, zgrubiał, wypasł się, utył i zgłupiał pod wpływem pojęć, — rozumiesz mnie? — pod wpływem zasad, które wciągał w siebie oczami, uszami, płucami, wreszcie wszelkiemi drogami, prowadzącemi pewne pojęcia, pewne zasady do jego mózgu, myśli, do jego serca, uczuć, — czy jak chcesz to nazwać. Z drugiej strony, wyrobione już w organizmie tego tłustego, ciężkiego, wegetującego cielska, w którem mięso przytłoczyło, zneutralizowało duszę, wyrobione już (powiadam) w jego mózgu czy myśli, w jego sercu czy uczuciu, pojęcia, zasady wydawał z siebie i wydaje, rozszerza, propaguje.

Wzruszyłem ramionami; jednak zastanowiłem się nad tem, co mówił.

— Słowem — rzekł dalej — jeżeli wyobrazimy sobie wiek XIX uosobniony w tym tłustym panu, jest on zarazem dzieckiem i ojcem społeczeństwa XIX wieku.

— Ależ na jego twarzy niema żadnej myśli; a przecież nasz wiek odznacza się myślami.

— Co?!... myślami? Powiedz raczej pomysłami, ale nie myślami. Czyż jest choć jedna przewodnia idea, choć jedna myśl w waszym wieku?!... Jeśli się kiedy pojawiła, wnet ją stłumiono, zabito, wyszydzono, a co najmniej pokryto pogardliwem milczeniem, lub milczeniem nic nie rozumiejącej głupoty.

— Bądź co bądź, ani tej tłustej, przypuśćmy bezdusznej, postaci, ani dziewiętnastemu wiekowi nie można odmówić myśli.

— Owszem. Najzupełniej! Myśl jest nieśmiertelną i jest macierzą tylko nieśmiertelnych tworów; myśl jest płodną i wydaje z siebie tylko płody godne tej wielkiej potęgi ducha. To, co w dzisiejszem społeczeństwie niektórzy nazywają myślą, jest rachubą, pragnieniem, żądzą, ale nie myślą.

— To tak subtelna różnica — odpowiedziałem — że ją zrozumieć trudno.

— Lecz ów wiek wasz subtelny i drobnostkowy powinienby przecież to zrozumieć. Powinienby nawet zgodzić się na to — dodał ironicznie — że nie ma on wcale myśli. To wypływałoby logicznie z rozumowania materyalistów. Nie namacano duszy palcem. Więc „nie ma duszy!“ wykrzyknęli. Nie można rękami pochwycić myśli! Więc niema myśli! Człowiek jest istotą bez myśli!

— To sofizmat!

— Taki, jak wiele innych, któremi odznacza się wiek XIX. Wasi mędrcy są tak śmieszni, że ich chyba tylko bronią śmieszności pokonać można.

— W rozlicznych sporach ścierają się pojęcia, wyrabiają się zasady; jedne upadają, natomiast powstają inne, lepsze — odrzekłem chcąc go podrażnić.

— Co to są p o j ę c i a ? co to są z a s a d y ? — zawołał szyderczo nieubłagany filozof. — Pokażcież mi

je, materyaliści, pozytywiści! Pokażcie mi palcem pojęcia, zasady. Niech ich dotknę! Ja nigdy pojęć ani zasad nie widziałem. Połóżcie mi je pod szkiełko, na szalę. Inaczej powiem, że to są mrzonki ideologów... A materyalistom cisnę największą obelgę; powiem im, że są ideologami.

Roześmiał się i przybrał nagle wesoły wyraz twarzy.

— Mówiłem ci, że nic pocieszniejszego i smutniejszego zarazem, jak widok dzieci, tych miłych aniołków, przerobionych przez ludzi w małpki, lalki, albo co gorsze w dyabełków. Ale zabawniejszy i smutniejszy jeszcze widok przedstawia fabryka fałszów i przekręcania mózgów.

Oho! — pomyślałem. — Nowy paroksyzm monomana!

— Jaka fabryka? — spytałem.

— Fabryka, która w dziewiętnastym wieku nazywa się szkołą. Im więcej tych fabryk w jakim kraju, tem bardziej oświeconym zowią zwykle kraj taki. A z nich wychodzą ludzie podobni do tego, który dopiero tą ulicą się toczył.

— Wychodzą też i inni — odrzekłem przerywając.

— Bardzo dobrze; lecz to są ci, którzy chcą ręką zatrzymać okręt płynący pośród burzy. Czy wiele dokażą?

Zdziwił mię tem porównaniem. Umilkłem.

— Patrz: jak się zaczyna k s z t a ł c e n i e młodzieży! Oto najprzód zabijają w dziecku najwyższy dar natury: w o l ę; zabijają w niem m y ś l; a przynajmniej krępują wszelką samodzielność, wszelką władzę myślenia.

Z historyi, którą wykłada bardzo mądry pan profesor, a którą napisał jeszcze mędrszy, sławny na cały świat uczony, dowiaduje się uczeń nowych, dziwnych rzeczy, uderzających wyobraźnię. Dotąd jego zdrowa, nieskażona natura miała instynktowny wstręt do wszystkiego, co sprawia ból, a drżała z przerażenia na widok krwi, choćby zarżniętej kury. Jeżeli mu się zdarzyło zbyt silnie targać psa za uszy, albo motyla szpilką przybić, rozsądny ojciec, poczciwa matka zgromili go, i słusznie. Nagle, słyszy w szkole od przewodnika mło-

dzieży, czyta własnemi oczyma w książce napisanej przez sternika oświaty, że Nemrod był wielkim, że Sezostrys był wielkim, że Cyrus był wielkim, że wielkimi mężami byli Aleksander Macedoński, Juliusz Cezar, Carolus, Otton, Wilhelm Zdobywca, Fryderyk Barbarossa, Fryderyk II i im podobni. Za co byli wielkimi? Za to, że najwięcej krwi ludzkiej przelali. Oczywiście, biednemu chłopcu przewraca się w głowie! W domu nie wolno mu było psa pokręcić za ucho; tu w urzędowym języku słyszy, że wolno mu będzie, jeśli zechce być wielkim, miliony ludzi wyrzynać. Takie pojęcia i zasady wychodzą ze szkoły i wszczepiają się w umysłach młodzieży. Oto masz działanie d o ś r o d k o w e. Takie pojęcia i zasady zaczerpnąwszy w szkole, uczniowie wydają potem z siebie i roznoszą je po świecie. Oto masz działanie o d ś r o d k o w e.

— Z postępem czasu, z rozszerzeniem prawdziwej oświaty sprawiedliwość weźmie górę, odniesie ostateczne zwycięstwo.

— Kiedy? Jakim sposobem? Przy takich warunkach? Nigdy! Słuchaj! Dam ci prosty przykład, bo ten może lepiej przekona niż mądre rozprawy, których jest więcej niż potrzeba, a które niczego jeszcze nie dowiodły. Spokojnemu malcowi w szkole — (wszak mówimy o szkołach) — kradną jego własną kromkę chleba z masłem koledzy. Malec płacze. W końcu, idąc za popędem sprawiedliwego, przyrodzonego uczucia, chce odebrać swoją własność. Rzuca się na kolegów dzielących się jego chlebem. Ci w przeważnej sile biją go, a w dodatku rozdzierają mu suknie. Malec idzie skarżyć się do dyrektora. Za nim ciskają koledzy szyderstwa, obelżywe słowa: „Oskarżyciel! Denuncyant! Lizus! Faworyt pana dyrektora! Szpieg! Zdrajca!...“ Wytacza się sprawa. Malec stracił chleb z masłem i szacunek u kolegów. Wreszcie został jeszcze przez dyrektora ukarany za to, że chciał sobie sam wymierzyć sprawiedliwość. Chłopcu znów przewróciły się w głowie wszelkie pojęcia o sprawiedliwości. Oto masz m i k r o k o s m o s, mały światek, prolog do życia publicznego, obrazek przyszłego społeczeństwa.

— Te wszystkie wątpliwości — odpowiedziałem— znikają przy ukształceniu wyższem, w uniwersytetach.

— W uniwersytetach ? — wykrzyknął, za boki biorąc się ze śmiechu filozof XX wieku i zaczął przewracać w swoich rękopisach. — Jeszcze może w uniwersytetach niemieckich? w wyższych szkołach tego narodu, który uważa siebie za przewodnika najwyższej oświaty?!... Patrz! Oto właśnie, tu, w tem mieście, znalazłem naznaczone dla uczniów do rozprawy zadanie przez profesora, doktora filozofii i nauk wszelakich, członka wielu arcy-mądrych Towarzystw, nadwornego Radcę czy Doradcę, Kawalera różnych orderów i tak dalej i tak dalej. Przeczytam ci to dosłownie:

„Bóg! Religia! Szerokość tego słowa. — Bóg jest tego słowa peripherium i środkowym punktem. Jego wysokość. Jego głębokość. Zenit i Nadir. — Imię pewne już w poganstwie znane, nazywa się Zeno. (S. April). Biskup w Wiedniu nazywał się Zenner. — Jak odbija się wieczne w doczesnem? święte w powszedniem (profane)? universum w perrene czyli w jednostce stworzeń? — Dante przedstawił z tego powodu niektóre obrazy. — Starożytni nawet wyobrażali sobie piekło (Tartarus) otoczone trzema rzekami. — Co wyrażają cztery rzeki w historyi raju? Dwie znane są później z imienia: Euphrat i Tygris. Dwie są nieznane“ *).

Słuchałem z uwagą i zacząłem przecierać oczy.

— Jak ci się podoba filozof, który mierzy wysokość i sonduje głębokość Boga? A ile na tem zyskuje moralność ludzkości! — dodał szyderczo. — Jak ci się podoba tak jasny wstęp do określenia rzeczy wzniosłych ?

— Mowa ludzka — odrzekłem — zbyt uboga dla przedstawienia pewnych pojęć w sposób wyraźny i zrozumiały.

— Pocóż rozum ludzki, który nie mniej ubogi jak mowa, porywa się na określenie pewnych pojęć, dla niego wcale nie pojętych?

— Robi, co może i jak umie.

— Nie; dlatego, że nie chce się przyznać, iż ma swoje granice, bo chce zniszczyć wszelką wiarę; bo mu się zdaje, iż wiara ubliża rozumowi; bo jest zaro-

---

*) Dosłowne tłómaczenie z niemieckiego. Oryginalny rękopis został zachowany i znajduje się w zbiorach po autorze.

zumiałym, pysznym. Taki rozum nie zasługuje na miano jakie nosi. To jest nierozum.

— Wreszcie, jeden przykład jeszcze niczego nie dowodzi.

— Chcesz innego przykładu? Oto wyjątek z logiki jakiej się uczą w uniwersytetach. „Powstanie i zginienie jest jednem i tem samem s t a ć s i ę. Mimo to jednak, jako różne kierunki, przenikają się nawzajem i paraliżują. Jeden kierunek jest z g i n i e n i e m; b y ć przechodzi w n i c, lecz to nic jest także p r z e c i w n o ś c i ą s a m e g o s i e b i e, przejście w b y ć; lecz b y ć znosi właśnie siebie i jest raczej przejściem w n i c, jest z g i n i e n i e m". — Tu mądry autor logiki odwołuje się do jeszcze mędrszego i bardziej zrozumiałego Hegla, a przytacza, na poparcie swojego zdania, z dzieł jego stronicę 109 tomu III. Słuchaj dalej: „Każde z nich znosi siebie i swoją i n s z o ś ć; a s t a ć s i ę, jako jedność tych znoszeń, znosi się także". — Co to za tragiczna scena! — „Wypadkiem podobnych znoszeń nie może być n i c; ponieważ ono samo było li tylko momentem w s t a ć s i ę; wypadkiem więc tego znoszącego się s t a ć s i ę; podobnie jak było z o s a d e m w pomienionym procesie, jest s t a ć s i ę". — Kto nie wierzy, niech zajrzy do dzieła p. n. „Zarys logiki i metafizyki przez doktora J. Ed. E r d m a n n a, profesora filozofii uniwersytetu w Halli. Wirtenberg". Znalazł się w Polsce tak dowcipny człowiek, który to dzieło Erdmanna nie tylko zrozumiał, lecz ocenił, dlatego przetłómaczył jena ojczysty język. Tytuł powyższy. Przekład L. O. Lipsk. Str. 29.

Rozbroił mnie straszny krytyk.

— Niechże tu kto zaprzeczy — zawołał — że Niemcy są najlogiczniejszym i najbardziej filozoficznym narodem w świecie! A logika toć przecie jest podstawą ich myślenia, podstawą ich s t a ć s i ę i ich b y ć, które dąży do tego, aby cały świat był z g i n i e n i e m, aby wszędzie było n i c, a na nim tylko oni sami.

Roześmialiśmy się obydwaj. Odpowiedziałem uradowany tem porównaniem.

— Ale z tego n i c jeszcze Niemiec potrafi zrobić c o ś, bo wszakże sam powiedział, że n i c jest przejściem w b y ć.

— A tak. Potrafi, ale cudzym kosztem. A jakże nie uczyć się rozumu od Niemców?! — rzekł filozof XX wieku. To byłoby wstydem!... Ach biedny, biedny wasz postęp!

Zaczął przechadzać się szybkimi krokami.

Potem rzekł nawpół uśmiechając się i silnie wstrząsając mi rękę:

— Do tego n i c dążą wszyscy, Teutoni i nie Teutoni, Tatarzy, Finnowie i romańskie plemiona, konserwatyści i radykaliści, jedni pośrednio, drudzy bezpośrednio! Do tego n i c dążą arystokraci i demokraci, spokojni i burzliwi, wolni i niewolnicy!... Ale któż u was nie jest niewolnikiem?! — dodał szyderczo. — Do tego n i c jedni drugich popychają; jedni z nieświadomością rzeczy, inni świadomie. Zniszczono wszystkie podstawy, wszystkie zasady, wszelkie węzły, wszystko! Katastrofa nieunikniona! Gore! Słychać już trzask, szum!... Jeszcze lat kilka... kilkanaście... jeszcze ćwierć wieku... pół wieku najdalej... a społeczeństwo wasze spłonie, utonie... nie wiem co się z niem stanie?... nie wiem jaką śmiercią zginie?... ale zginie! I nikt nie krzyczy!... I nikt nie woła o ratunek!... I wasi mędrcy siedzą z założonemi rękami!... Piszą sobie rozprawy o Bogu, o istnieniu ducha, o materyi. Zrzucają z tronu Boga; zabijają ducha; czołem biją przed siłą, która ich straszy, którą widzą; czołem biją przed spiżem i krzyżem, ale nie tym, na którym skonał Zbawiciel. Piszą o powadze rozumu i powadze wiary. Gryzą się, szarpią się, ślinią się pianą wściekłości, jak dzikie zwierzęta... a to wszystko w imię absolutnej, filozoficznej p r a w d y! Piszą anegdotki o dworach, o ministrach, o ich kochanicach. Fabrykują historyę do fabryk, zwanych szkołami. Piszą dramata pełne brudów, zbrodni, bezwstydu, cynizmu. Piszą powieści bez myśli i celu. Piszą wiersze bez poezyi. Piszą tomy filologicznych rozpraw. Na wyścigi z nimi artyści psują marmur, leją posągi Colleonim — Napoleonom, pierwszym zbrodniarzom świata, pierwszym zbójcom, tyranom; stawiają je na wyniosłych kolumnach, na placach, przy bengalskich ogniach, wobec rozdziawionych gęb głupiej gawiedzi, wobec młodzieży, dla jej nauki, ku pożytkowi narodu!... Malarze smarują płótno, ażeby unieśmiertelnić rysy szczę-

śliwców, obdarzonych większą bydlęcą siłą, większą ilością armat i bagnetów. Silą się na odmalowanie nagich postaci, pięknego ciała, pulchnych łydek, wydatnych piersi... To się nazywają u was: akademickie studya!... Zobacz na przykład Makarta, pierwszego mistrza niemieckiego, wjazd Karola V. do Antwerpii. Same gołe kobiety! Nie wiesz: czy to łazienka? czy tryumfalny pochód monarchy!... To natura!... realizm!... akademia!... — dodał filozof, śmiejąc się litościwie. — Tymczasem społeczeństwo cierpi. Lud prosty nie wie skąd źródło cierpień jego pochodzi; przyczyny złego odgadnąć nie może. Wie tylko, że coraz więcej płaci podatków; że coraz więcej krwi przelewa. Czuje, że mu czegoś nie dostaje, że mu źle na świecie. Czuje jakiś niesmak, zniechęcenie. Nie znajduje prawdy ani w książkach, ani w życiu.

Powaśniony sam z sobą, ze wszystkimi, topi utrapienie w winie, w piwie, w wódce... Nieszczęśliwy, znękany robotnik, zły choć nieszczęśliwy, a raczej dlatego zły, że nieszczęśliwy, sam nie wie czego chce, na kim złość ma spędzić; więc bije żonę, zabija własne dzieci, żeby nie żyły... bo i to się często zdarza w oświeconym, wolnym, postępowym dziewiętnastym wieku!“

Trudno było rozprawiać z człowiekiem, który wyraźnie ludzi oświeconych uważał za ciemnych, ignorantów; z dziwakiem, który w swej pysze dwudziestego stulecia, nie przyznawał postępu dziewiętnastemu wiekowi, a obywateli spokojnych, lubiących porządek, mieszał z burzycielami spokoju i porządku. Wreszcie niesłychana zarozumiałość jego, jakkolwiek przebaczona obłąkanemu, każdegoby zniecierpliwiła. Wszyscy prawie u niego albo źli, albo głupi! nawet przyjaciele ludzkości!

Odezwałem się z niechęcią:

— Wiele u nas może być złego, wiele jest rzeczy śmiesznych; ale nie trzeba przesadzać, nie trzeba tak czarno patrzeć na społeczeństwo.

— Przesadzać!... Czarno patrzeć!... — powtórzył tonem szyderczym. — Wielkie słowa, należące także do wykrętów, sofizmatów, i do tej całej frazeologii dyalektycznej dziewiętnastego wieku. Gdybyście umieli

przesadzić i spojrzeć nareszcie dokoła, zobaczyć, co się u was dzieje, tobyście byli szczęśliwi. Ale wszyscy niemal Europejczycy dziś żyjący nie mogą niczego widzieć ani biało ani czarno; dotknięci są straszliwą chorobą: czarną kataraktą.

— Czyż uniwersytety — spytałem — nie są siedliskami nauk? słońcami, z których rozchodzą się promienie światła po całym świecie?

— Przestań! — zawołał. — Czy nie zdarzyło ci się pod dachem jednej i tej samej „wyższej“ szkoły, czasem o ścianę tylko, słyszeć o najbardziej zasadniczych rzeczach najbardziej sprzeczne opinie? Bóg jest i Boga niema! Te same ściśle opisane i określone fakty dziejowe są raz cnotą, raz zbrodnią!

— Inaczej być nie może — rzekłem — każdy przedmiot ma dwie strony.

— Ha! znowu wielkie słowo! Bez zaprzeczenia, każdy przedmiot należy z rozlicznych stron oglądać; ale gdzież jest prawda? komuż ma uczeń wierzyć? Dlaczego społeczeństwo tak urządzone, iż każdy szarlatan, każdy Barnum ma prawo w świątyni nauki, w imię prawdy, mówić co mu się podoba? że pod jednem sklepieniem słyszysz: biało i czarno?

— Wolność słowa! Pogląd indywidualny, sąd osobisty dozwolony każdemu.

— Bardzo to pięknie. Cóżbyś powiedział, gdyby nagle zasiadł profesor na katedrze i dowodził, że promień koła nie jest połową średnicy, lecz trzecią jej częścią?... lub coś podobnego... Gdyby zbijał prawdy odkryte przez Pythagorassa, Archimedesa, Newtona? Zamkniętoby go do domu waryatów, a conajmniej, nie pozwolonoby mu miewać publicznych wykładów. Dlaczegóż rząd, dlaczegóż społeczeństwo toleruje nauki, które w rażącej są jedne z drugiemi sprzeczności?

— Cóż to szkodzi? — Z tych szermierstw wyjdzie prawda na jaw. Ze ścierania się kamieni tryśnie iskra światła.

— Tak! A tymczasem lud nieoświecony oszukują urzędownie i z całą paradą! — zawołał z goryczą filozof XX wieku.

Przestał mówić. Piersi jego wzdymały się oddechem silnego wzruszenia. Po chwili tak dalej rozprawiał:

— Gdyby mniemani miłośnicy prawdy, ci właśnie,

którzy brednie prawią lub kłamstwa sieją, pod pozorem wyjaśnienia jej, gdyby wszyscy, jak jeden mąż, (chociaż każdy w swym zakresie), okazali uczącym się: co jest prawda, a co jest fałszem dziś, co jest dzisiaj zbrodnią w ulegalizowanej formie, a co cnotą jęczącą pod pięścią silniejszego; gdyby prawili o tem w szkółkach, na katedrach, na kazalnicach, na placach, wówczas nazwałbym ich mędrcami, wówczas ludzkość rzeczywiście poszłaby szybkim krokiem naprzód. Ale spierają się z sobą o zasady!... Zapełniają biblioteki niepotrzebnemi książkami! Któż nie widzi, że tak zwane zasady w XIX wieku, te mają więcej wagi, do których przyczepiony cięższy wór złota?... A niech mi nikt nie mówi, że w świecie moralnym zasady łatwo ulegają sporom i dają się na wszystkie strony naginać. Nieprawda! W świecie moralnym są pewniki tak niewzruszone, jak w matematyce. Ludzkość ma przyrodzone prawa tak wieczyste, jak świat fizyczny. Tylko tych pewników i praw — obłąkany, niewolniczy wiek dziewiętnasty dotąd nie przyjął za obowiązujące!

— W naukach historycznych i filozoficznych — wtrąciłem — rozwija się coraz obszerniejszy widnokrąg; zjawiają się nowe pomysły, rodzą się nowe o rzeczach pojęcia.

— Historya? — wykrzyknął filozof. — Czyż nie fałszują jej w potworny sposób? A filozofia! Przerabiają rzeczy stare jak świat. Powtarzają to, co przed dwoma tysiącami lat było powiedziane. Niema systemu filozoficznego, któryby już nie istniał od wieków. Nie ma wątpliwości, którąby nie była rozbierana na wszystkie strony. To, co dzisiejsi materyaliści i tak zwani pozytywiści podają za swoje własne odkrycia, z bezczelnością niesłychaną, z zuchwalstwem godnem surowej kary, znane jest prawdziwie uczonym oddawna. Okradają starożytnych pisarzy, ubierają ich myśli w swoje szaty, zdobią je swoim stylem napuszystym, pełnym zarozumiałości; i okrzyczanymi są za geniuszów, za wynalazców, za mądrych badaczy!... W sporach religijnych i psychologicznych czyż jest choć jedna myśl, którąby nie była poruszona w pierwszych wiekach chrześcijaństwa: przez Philona Aleksandryjskiego, Apoloniusza z Tyany, Epikteta, wreszcie w sektach

Gnostyków, Marcionitów, Montanusa, Sexta Empiryka, Manichejczyków, Donatystów, Nestorjanów i tylu innych?! Czyż nie rozprawiano o tem aż do znudzenia? czyż nie zapisano stosów ksiąg?!... Ale Görres, Feuerbach, Strauss, Büchner, Moleschott, Vogt i cała drużyna plagjatorów, powiedzieli wiele „nowych rzeczy“, w mniemaniu mądrych postępowców!... Litość bierze!... A właściwie: pogardy godni ci, co oszukują ciemnych. To są wasi filozofowie! wasze uniwersytety.

— A prawoznawstwo? — spytałem nieśmiało.

Na to pytanie gość mój wzdrygnął się; wyraźnie był poruszony i starał się powściągnąć silny wybuch, do jakiego usposobiła go sama wzmianka o tej gałęzi nauk. Oczy jego pałały blaskiem niezwykłym, zdradzając stan wielkiego rozdrażnienia. Jeżeli w ciągu swego rozumowania, zdawał się niekiedy zupełnie przytomnym, wygłaszając zdania, na które mógłby się zgodzić każdy rozsądny i uczciwy człowiek, tym razem, w obliczu całem, okazywał stopień obłąkania graniczący blizko z wściekłością. Patrząc na niego, można było mniemać, iż lada chwila zjawi się jakiś straszny napad, właściwy tym, którzy są dotknięci okropną chorobą zwaną „mania furiosa“. Nad wszelkie spodziewanie jednak ozwał się chłodno:

— Do rzędu najstraszniejszych plag, jakie gnębią społeczeństwo XIX wieku, w systemacie nauk, należą: prawoznawstwo i medycyna, w tym kierunku jednostronnym, jaki jej u nas nadano. Na te dwa wydziały uczęszcza najwięcej uczniów na wszystkich uniwersytetach; i w tem jest wielkie nieszczęście! A filozofia dotąd nie zaradziła błędnym pojęciom, jakie są rozpowszechnione w naukach o prawie, ani też zgubnemu kierunkowi medycyny. Nie dziwię się więc, że niejeden z lekceważeniem, niemal z pogardą odzywa się o filozofii. Tem smutniej, iż wielu bardzo filozofów przyjęło absurda, wyniesione w prawoznawstwie do znaczenia dogmatów.

— Wątpię, ażeby choć jeden prawnik specyalny lub filozof podzielał to zdanie.

— A ja nie wątpię, iż każdy z nich okryłby się tylko śmiesznością. Powiedz mi, czy w milionach to-

mów, które napisano o prawie, znajdziesz choć jedną dobrą definicyę: co to jest „prawo“. „jus“, „das Recht“, „le droit“? co jest rzeczywistem, niewzruszonem, sprawiedliwem prawem do czegoś? Czy którykolwiek profesor lub autor, piszący mądre rozprawy o prawach, wykazał jasno różnicę między prawem a bezprawiem, między wieczystym porządkiem natury a bezrządem samowoli? Czy miał dość odwagi, czy był dość sumiennym, ażeby dowieść swoim słuchaczom lub czytelnikom: co jest rzeczywiście rządem, opartym na wieczystych prawach, więc na porządku, a co bezrządem, lub uzurpacyą, ubraną w formę prawa, lecz opartą na samowoli? Czy jest wyraźne określenie co powinno się zwać prawowitem, legalnem, a co nieprawem, nielegalnem?

A toż przecie są węgielne kamienie, podstawy prawodawstwa! Bez jasnego, zdrowego, rozumnego, sumiennego określenia tych pierwotnych zasad, pisać o „prawach“, bez położenia przyrodzonych zasad, któremi ma prawo rządzić się człowiek, pisać ustawy — jest niedorzecznością, godną najciemniejszego barbarzyństwa. Były chwile, gdy podniesiono sprawę o prawach człowieka; ale czyż je zastosowano w Europie? Wreszcie, czy dotąd którykolwiek ze specyalnych prawoznawców rozstrzygnął wyraźnie pytanie: jakie są prawa narodów? to jest: do czego każdy naród ma prawo? Niech sobie mówią co chcą zwolennicy systemu państwowego albo kosmopolityczni socyaliści; ale narody są, istnieją; mają swoją indywidualność, swoją narodowość. Pomimo to przyjęto zasady państwowe. Czy pierwej był pan czy naród? Jakto! Istnieje odwieczny w naturze żywy przedmiot, a pozbawionym jest pierwszeństwa, pozbawiony jest swego własnego, wieczystego, przyrodzonego prawa?!... Istnieje zbiorowy (odrębny w swoim zakresie) człowiek, a jest pozbawiony samoistnego bytu, własnej woli, przyczepiony do państwowego koła Ixiona?! I wśród tego straszliwego chaosu, wśród tego bezprawia, wyniesionego do potęgi prawa, juryści śmią z zimną krwią mówić o „prawach“, profesorowie wykładać je z katedry? Z pojęciami zaczerpniętemi w uniwersytetach, jacyż wychodzą ludzie, mający sterować społeczeństwem?! Z uniwersytetów jest odpływ do pań-

stwa; a skąpani w wadliwym ustroju społeczeństwa sternicy organizują szkoły lub zasiadają na katedrach; przypływają, żeby znów z kolei wprowadzić w ruch owo koło, do którego przykuta wola narodów. Oto jest organizm dziewiętnastego wieku. Takiem jest jego prawo!

— Każdemu z profesorów zostawiony jest wolny wykład — rzekłem, nie mając ochoty dłużej rozwodzić się nad tym przedmiotem. — Widzimy wielu znakomitych uczonych, którzy pojęcia zdrowe o prawie rzeczywistem rozszerzają, a prawo prawdziwe oceniają według jego wartości.

— Gdzież jest zastosowanie tej nauki? W bardzo małej cząstce Europy. A większość uczonych prawników ulega starym przesądom. Jednych zasad, które należało przyjąć, jak n. p. te, o których dopiero mówiłem, nie przyjęto wcale, nie wprowadzono do ustawodawstwa; innych znowu, któreby trzeba raz na zawsze obalić, nie zniszczono. Weźmy jeden przykład na tysiąc: rozprawiają, piszą prawnicy, filozofowie o prawach wojny. Jeżeli wojna jest najezdniczą, przeciwną wszystkim prawom przyrodzonym, jeżeli zatem jest nieprawą, nielegalną, jak może rodzić prawo — prawo bezprawia?! Toż potworna niedorzeczność. A przecież tę niedorzeczność doprowadzono do systemu; zrobiono z niego naukę, którą bardzo poważnie głoszą z katedry! Każda zaczepna wojna jest pogwałceniem wszystkich praw. Jedyną prawowitą wojną jest wojna obronna.

— Przeglądając pisma uczonych, nie trudno znaleźć, iż pojęcia, o których mówimy, nieraz poddane były pod sąd krytyczny. Rozbierano je bezstronnie.

— A! przeglądałem te arcy-mądre pisma i wycisnąwszy je jak gąbkę, oto co w nich znalazłem: „Prosty stan posiadania musi z czasem przejść w stan legalny“. — Nie jestże to zbójecką nauką?!... Dalej: „Najważniejszem jest wykazanie różnicy pomiędzy legalnością posiadania a prostym tylko faktem posiadania w stosunkach rządu do narodu, albowiem tu bardzo często rząd faktyczny (gouvernement de fait) wprawdzie na przemocy tylko i uzurpacyi opierający się, lecz do znający już posłuszeństwa, odróżnianym bywa od właściwego, prawowitego rządu

(gouvernement de droit), który nie miał siły utrzymać praw swoich i pełnić swej powinności. Powiedzieć zaś, że fakt posiadania nigdy w stan posiadania legalnego przejść nie może, że uzurpator (przez starożytnych zwany „tyrannis absque titulo“) nie ma prawa do politycznych czynności, albo że jego rozporządzenia nie mogą być przyjęte i uznane bez różnicy, jako obowiązujące, byłoby to wprowadzenie kwestyi nierozwikłane trudności; albowiem mało jest państw w Europie, którychby publiczne prawo było wolnem od uzurpacyi“. Oto jest więc ekstrakt mądrości prawodawstwa, podstawa wszystkich ustaw, wynikających z takiego pojęcia rzeczy! W tych lub tym podobnych słowach znajdujemy naukę o „prawach“ w każdej niemal encyklopedyi prawa i filozofii prawa, jako elementarny katechizm dla urzędników. Taka jest polityczna logika Niemców. Ubóstwiany przez wielu Hegel, którym dotąd przesiąkła cała filozofia niemiecka, był jednym z najbardziej służebniczych doktrynerów. Dość przeczytać jego: „Ueber den Werth des Studiums der alten Sprachen“. W filozoficznej rozprawie nie mógł powstrzymać się od serwilizmu, który wpajał w umysły młodzieży we wszystkich dziełach swoich. Na takiej zasadzie, jak ta, którą dopiero przytoczyłem, złodziej co ukradł konia, i doznał już posłuszeństwa, za pomocą siły, to jest batoga i uzdy, ma prawo zabrać go sobie, gdyż z czasem staje się jego legalnym właścicielem. Dochodzić zaś, do kogo skradziony czy wydarty koń należy, byłoby tylko wprowadzeniem sprawy „w nierozwikłane trudności“.

— Nie przeczę, — odezwałem się — iż pojęcia o prawie, zarówno jak język prawniczy, czy to najbardziej uczony jurisprudentów, czy też urzędników w administracyi i sądownictwie, przypominają wieżę Babel. Ale w czasach odległej starożytności, jak też dziś, byli i są mężowie znakomici, dobrem ogółu powodowani, którzy starali się zmieszane pojęcia wyjaśnić a sprawiedliwość wprowadzić.

— Wieża Babel!... Gdzie niema języka babelskiego w XIX wieku?... Nie tylko w prawnictwie, lecz wszędzie! Taką wieżą Babel jest każda szkoła, każdy

uniwersytet, a następnie każdy trybunał, każdy prawie dziennik, każda niemal książka. Powiesz mi znowu, że przesadzam. Ale czy znajdziesz choć jedno dzieło, gdzieby przynajmniej na jednej stronicy nie było kilku pojęć, zasad, zdań, wywróconych na wspak, wbrew wszelkim prawom naturalnej logiki? Oczywiście, nie mówię o naukach ścisłych.

— Na to nikt się nie zgodzi.

— O! ja wiem, że na to nikt się nie zgodzi. Mógłbym jednak dowieść, że często o jednem zdaniu rzuconem na wiatr, o jednym wyrazie nawiasowo wypowiedzianym, trzebaby tomy zapisać, albo tysiące przykładów przytoczyć, ażeby tego zdania lub tego słówka wykazać niedorzeczność. Tak więc, gdy niema kardynalnych podstaw w pojęciach zasadniczych o prawdzie, głupstwo szerzy się bezkarnie i przybiera coraz straszniejsze rozmiary. A mądre urządzenia starożytnych prawodawców, mądre zdania filozofów, czy im na imię Plato, lub Aristoteles, Montesquieu lub Rousseau, zostały na papierze.

Obrzydliwym służalcem był Voltaire; dawał ludom z siebie przykład najhaniebniejszego pochlebstwa, pełzania; a przecież są dotąd ludzie zwani „oświeconymi“, którzy go uważają za apostoła wolności!

— Dlatego, że wyszydzał i wyniszczał przesądy.

— A natomiast inne, gorsze wprowadzał. Wszak szczytem politycznej mądrości, w duchu Grotiusa, Hobbesa, Voltaire'a i całej czeredy materyalistycznych niewolników siły, zwanych filozofami, są dzieła Fryderyka II, którego dotąd uwielbiają ci, co wobec „postępowego“ społeczeństwa uchodzą za uczonych! Oto są zasady tego „wielkiego monarchy, króla-filozofa“: „O religii“. „Religia jest koniecznie potrzebną dla państwa. Niezręcznym jest król, który pozwala poddanym swoim nadużywać tej maksymy; ale też nie jest wcale mądrym, jeżeli sam posiada religię. Uważaj to dobrze, kochany mój synowcze! Nic tak nie tyranizuje ducha i serca jak religia; albowiem nie zgadza się ona ani z namiętnościami naszemi, ani z wielkimi widokami politycznymi, które każdy monarcha mieć powinien. Kto boi się Boga, czyli inaczej mówiąc, piekła, staje się kapucynem. Jeżeli trzeba, korzystając z przyjaznej chwili, zagarnąć jaką

prowincyę, zaraz ci armia dyabłów staje przed oczyma, w jej obronie! A my jesteśmy dość słabi i wierzymy, że to byłoby niesprawiedliwością!... Jeżeli tylko pamiętamy o tem, żeśmy chrześcijanie, wszystko zginęło, zawsze nas oszukają. Wojna jest rzemiosłem, które zepsuć może najdrobniejszy skrupuł. Jakoż rzeczywiście, któryż uczciwy człowiek chciałby prowadzić wojnę, gdybyśmy nie mieli prawa wydawać ustaw i rozporządzeń dozwalających rabunek, podpalanie i rzeź? Byłoby to ostatecznem szaleństwem, gdyby panujący przywiązywał wartość do tych nędznych drobnostek, które dobre są tylko dla ludu... Nasi praojcowie przyjęli chrześcijaństwo w IX wieku dla przypodobania się cesarzom, stali się wyznawcami Lutra w wieku XV dla zabrania dóbr kościelnych; reformowanymi w XVI stuleciu dla przypodobania się Holendrom, gdy chodziło o sukcesyę księstwa Clewe. My moglibyśmy być obojętnymi dla utrzymania spokoju w naszem państwie. O sprawiedliwości. Winniśmy poddanym naszym sprawiedliwość, jak oni winni nam posłuszeństwo. Jest to rzecz uznana. Ale trzeba się bardzo pilnować, ażeby nie uledz kierunkowi sprawiedliwości. Nie daj się więc olśnić, kochany synowcze, tym wyrazem: sprawiedliwość. Jest to wyraz, który można tłómaczyć rozmaitymi sposobami. Ja daję mu takie znaczenie: Sprawiedliwość jest obrazem Boga; a któż może dojść do tak wysokiej doskonałości? Nie jestże rozsądną rzeczą wyrzec się sprawiedliwości zupełnie? Cóż w tem nadzwyczajnego, iż człowiek chce być sprawiedliwym, według swego widzimi-się? Gdy przejrzałem wszystkie trybunały mojego królestwa, znalazłem ogromną armię legistów. Wszyscy uchodzili za uczciwych ludzi, ale żaden z nich nie był uczciwym. Często zastanawiałem się nad korzyściami, jakich dostarcza królowi Ciało reprezentujące naród i będące praw swoich strażnikiem. Mniemam nawet, iż król pewniejszym jest korony w takim razie. Ale jakże zacnym człowiekiem być potrzeba, człowiekiem pełnym dobrych zasad, ażeby pozwolić, by codziennie oceniano nasze czynności! Kto ma szlachetną ambicyę, nie może pozwolić na to. Co do mnie: nic nie mógłbym zrobić, gdyby mi przeszkadzano w ten sposób. Możebym uchodził za króla sprawiedliwego, ale odmówionoby mi tytułu bohatera".

Nie mogłem wstrzymać się od śmiechu.

— Chlubne dał sobie świadectwo!

— Sobie i wszystkim. Patrz! Ten szczery monarcha jakim policzkiem nagrodził wszystkich swoich chwalców spółczesnych i potomnych! Jakim obdarzył potężnym policzkiem wielu prawników, historyków, filozofów, nie wyłączając wielu członków społeczeństwa dziewiętnastego wieku. Pozwól mi czytać dalej.

„O polityce. Ponieważ ludzie zgodzili się na to, iż oszukaństwo jest czynem podłym i zbrodniczym, wynaleziono wyraz dla złagodzenia rzeczy. Tym wyrazem jest: polityka.

przyzwoitość nie pozwala nazywać nas poprostu łotrami i oszustami. Oto jest zatem co rzeczywiście myślę o polityce. Rozumiem, kochany synowcze, iż polityka zależy na tem, aby starać się drugiego oszukać. Bądź pewnym, że wszystkie państwa całego świata do tego dążą. Przyjąwszy więc tę zasadę, nie wstydź się zawierać przymierza z ukrytym celem wyciągnienia z nich dla siebie samego korzyści. Zwłaszcza trzymaj się stale tej maksymy, że obedrzeć swoich sąsiadów jest najpewniejszym środkiem odjęcia im możności szkodzenia tobie“.

— Wszystkie inne zasady tego króla, którego uważają dotąd w Europie za ideał monarchy godny naśladowania, wszystkie jego nauki dane synowcowi i przekazane jako testament, wraz ze wskazaniem praktycznych sposobów dla urzeczywistnienia ich, są podobnej wartości. Jeżeli nie znasz tego dzieła, wobec którego bledną najcyniczniejsze utwory przewróconego lub spodlonego umysłu, przeczytaj: Les matinees du roi de Prusse, ogłoszone w Berlinie 1784 roku. Wielbiciele Fryderyka II wiecznie powstają na Lojolę, którego pism nawet nie czytali i nie wiedzą, że to był jeden z najzacniejszych mężów; Wiecznie powstają na Lajneza, jednego z największych mędrców; wyraz „jezuityzm“ wszedł w przysłowie i jest w ustach wszystkich, słusznie czy niesłusznie, gdy mowa o chytrości lub użyciu złych środków do dobrego celu“.

— Potępiłeś dotąd system wykładu każdej niemal nauki. Cóż masz do zarzucenia medycynie?

— Najprzód to, iż nie zbiorą wielkiego kongresu, aby uchwalić, że ludzie krzewiący błędne albo szkodliwe dla społeczeństwa zasady, zarówno jak i ci, którzy tym zasadom ulegają i w ich duchu postępują, są niebezpiecznymi. Należy ich przeto oddzielić od towarzystwa społecznego, jako zaraźliwych; należy ich leczyć; a najniebezpieczniejszych zamknąć w domu obłąkanych.

— Tym sposobem wypadłoby może połowę ludzkości osadzić w szpitalach; a medyków, którzyby podobną wydali uchwałę, najpierwszych wszyscy wzięliby za waryatów.

— Niewątpliwie. Któryż waryat ma siebie za waryata? Zawsze przypisuje obłąkanie zdrowemu człowiekowi. Mniemam, iż pierwszego lekarza, któremu przyszła myśl wypalania zjadliwej rany lub odcięcia zgangrenowanego członka, podobnież wzięto za szaleńca. A w dzisiejszej chorobie społeczeństwa nie potrzeba ani wypalania ani chirurgicznej operacyi, gdyż tu chodzi o leczenie umysłu, nie ciała. Wreszcie jakkolwiek zło jest powszechnem, jakkolwiek bardzo wielu ludzi jest trujących zdrowe pojęcia społeczności, to przesadą jest, co mówisz, że połowę ludzkości wypadałoby poddać leczeniu. Biorąc statystyczne liczby, trzeba przyznać, iż prostaczkowie, wieśniacy, robotnicy różnego rodzaju, ludzie zaledwie umiejący czytać i pisać, choć nie mający warunków oświaty, chorymi wcale nie są. Oddychają oni zepsutem powietrzem, wciągają w siebie zaraźliwe miazmata, są nawet zdemoralizowani pod względem fizycznym; zagrożeni lada chwila szkodliwych pojęć napływem. Ale w ludzie prostym tylko można jeszcze zdrowe znaleźć zasady, poczucie sprawiedliwości, instynktowne zamiłowanie prawdy, słowem: pojęcia zgodne z prawami natury. Za szkodliwych zaś szaleńców powinni być uważani ci przewódcy społeczeń-

stwa, którzy psują zdrowie, niszczą duchowy organizm ludzkości.

— Któż o tem wyrzeknie? kto będzie śmiał się o tem wyrzec?

— Trzeba, żeby ktoś śmiał! Jakto! Gdy idzie o życie lub śmierć milionów ludzi, gdy idzie o nędzę i klęski coraz więcej szerzące się, nie znajdzież się nikt, w wieku postępowym, coby powiedział: „Oto jest źródło złego! trzeba ratunku!“ Jeżeli pojedynczy człowiek nie ma na to dość odwagi, niech orzeka zbiorowe ciało ludzi uczonych, wszechstronnych, bezstronnych.

— Wszystko jest względne. Nie zgodzą się wszyscy na jedno, aby stanowczo określić: jakie mianowicie zasady szkodliwemi są dla ludzkości.

— A! biednyż rozum dziewiętnastego wieku! nędzny postęp! Docieczono, że arszenik truje, że zabija w jednej chwili kwas pruski; a nie mogą dotąd zbadać uczeni, co jest w moralnem znaczeniu arszenikiem, co jest kwasem pruskim, również, choć nie tak szybko, zabijającym społeczność!

— Łatwiej ganić, niż zrobić! Od czegóż zacząć? Jaki znaleźć punkt wyjścia?

— Jedno z dwojga: albo w świecie moralnym są pewne prawdy i pewne prawa przez naturę wskazane, albo ich niema wcale! Albo jest dobre i złe, albo tylko dobre, lub złe.

— Absolutnego dobra ani absolutnego zła w rzeczywistości nie ma.

— Dyalektyka! Ale przypuśćmy, że tak jest. Nie chodzi tu o wynalezienie i określenie jakiegokolwiek absolutu, nad czem już filozofowie głowy sobie suszyli, a wielu ludziom mózgi wysuszyli, przygłuszając w nich głos natury, lecz o wynalezienie i określenie względnego dobra tudzież względnego zła, ażeby do tego zastosować społeczny ustrój. Weźmy przykład: Ponieważ wypływem społecznych nauk jest polityka, a więc tak zwane polityczne prawo, a więc rząd, a więc ustawy i wszystko, co z niemi ma związek, są dobre albo złe. Są one mądre, uczciwe, pożyteczne dla społeczeństwa, albo też niedorzeczne, nikczemne, szkodliwe. To samo powiedzieć można o wielu zasadach.

— Na jakiejże podstawie wesprzeć rozumowanie

i budować system zgodny z prawdą, ażeby wiedzieć co jest dobrem i co jest prawdą?

— Na naturze. Ona powie co jest dobrem, co jest prawdą.

Są pewne rzeczy, których umysłowy wzrok nasz widzieć, ani rozum nasz dokładnie zbadać nie może. Ale niemniej przeto one istnieją. Przekonać się o tem możemy z objawów. Nie widzimy elektryczności, póki zamknięta w ciele, a jednak wiemy, że się tam znajduje. Ściśle mówiąc, nie widzimy jej nawet wtedy, gdy już wyjdzie z ciała w postaci iskry, gdyż iskra nie jest jeszcze elektrycznością, lecz jej objawem, a jednak nie tylko wierzymy, ale rozumem stwierdzamy tę prawdę, że siła sama w sobie niepojęta, którą nazwaliśmy elektrycznością, jest, że tak powiem fizyczną duszą każdego ciała. Owóż to samo rzec można o innej sile, która fizycznych kształtów, podobnych jak np. iskra elektryczna, nie ma; która objawia się tylko za pomocą cielesnych narzędzi, lecz nie jest fizyczną, a którą słusznie nazywają duszą, w metafizycznem znaczeniu. Chcąc zbadać normalny stan człowieka, potrzeba zbadać jego naturę. Chcąc zbadać człowieka w jego chorobliwym stanie, potrzeba znać jego naturę w stanie normalnym. Zadaniem leków jest przywrócenie zdrowia, doprowadzenie człowieka do stanu normalnego.

A zdrowie jest normalnem prawem natury. Otóż mamy i prawdę! Na czem polega to zdrowie? Na normalnem działaniu władz fizycznych i ich zgodzie z władzami umysłowemi. Cóż są te władze umysłowe? czy to są ruchy i działania nerwów lub mózgu? Przypuśćmy, że tak jest. A co wprowadza w ruch te nerwy? co jest ich czynnikiem? gdzie jest ta para, która ów mechanizm nerwowy i w ogólności fizyczny porusza? skąd się ta para bierze? gdzie główny motor i z jakiego pochodzi źródła? Niech mówią co chcą pozytywiści i materyaliści, idąc logicznie coraz dalej i dalej musimy dojść do uznania najwyższej siły, potężniejszej od wszystkich sił fizycznych, do uznania ducha. Wylewem tej ogólnej, niepojętej dla nas siły w jednostce, w człowieku, jest dusza. Jej władzą najpotężniejszą jest myśl. którąbym nazwał idealną a raczej metafizyczną elektrycznością każdego ciała organicznego.

— Mówiliśmy już o tem, że wielu uczonych istnienia tej siły czyli duszy nie uznaje.

— W tem właśnie błąd. Chcę na to zwrócić uwagę, że cała wina za ten błąd nie tylko spada na filozofów materyalistów, lecz więcej jeszcze na tych uczonych, którzy zwą siebie badaczami przyrody, naturalistami, a istoty natury, abecadła natury nie rozumieją. Najwięcej zaś odpowiedzialnymi za ten błąd są ci medycy, którzy zajmują się najważniejszym wieńcem przyrody: człowiekiem, a natury człowieka nie znają. Ażeby człowieka znajdującego się w jakimkolwiek stanie chorobliwym leczyć, potrzeba przyjąć tę niczem niezbitą prawdę, że on jest złożonym z dwóch głównych pierwiastków: duszy i ciała. Ażeby leczyć chore społeczeństwo, potrzeba u niego także uznawać istnienie duszy w ciele. Wracam więc do tego, com mówił i przypominam, że tu należy badać dwoiste działania dwóch sił w dwóch pierwiastkach człowieka i działanie dośrodkowe i odśrodkowe, wzajemny wpływ: ciała na duszę i duszy na ciało. „Niema duszy“ — woła materyalista. „Plus negare potest asinus quam probare philosophus!“ Normalny w stanie zupełnego zdrowia cielesnego będący człowiek, może mu odpowiedzieć: Patrz! Jestem zdrów zupełnie. Mam mocne kości, silne muskuły, czystą krew, spokojnie działające nerwy. Jem dobrze; trawię dobrze; sypiam dobrze. Mam zdrowe płuca, zdrowe wnętrzności, zdrowy mózg, prawidłowe bicie serca, prawidłowe tętno. Myślę rozsądnie, postępuję uczciwie i nikt ani moim myślom, ani mojej mowie, ani moim czynnościom nie ma nic do zarzucenia. A jednak cierpię. Powiedzże, co we mnie boli?

Po tych słowach filozof XX wieku myślał długo, wzrok mając w górę wzniesiony.

— Tak! — zawołał wreszcie — Decartes mówił: „Myślę, więc jestem“. A ja ci powiadam: Zdrów jestem na ciele, lecz cierpię, więc mam duszę.

— Materyalista powie, że to jest złudzeniem, że tu nerwy rzeczywiście cierpią, że są podrażnione.

— Na to niema rady! Więc jeden z nas jest upartym głupcem albo szaleńcem. Jednego z nas trzeba zamknąć w domu obłąkanych albo leczyć. Ale niechże owi mniemani uczeni zastanowią się nad tem, do jak

opłakanych wyników doprowadziła całą ludzkość ich niedorzeczna nauka! „Niema duszy“ — powiedzieli sobie; więc nie troszczą się o duszę. Jeśli niema duszy, zatem niema chorób duszy! A tymczasem społeczeństwo cierpi i w coraz większe błędy i w coraz większe zbrodnie wpada. Cóż na to wszystko radzi medycyna? Uznawszy tę prawdę, że dusza istnieje w człowieku, fizyolog powinien podać rękę psychologowi, terapeuta psychiatrykowi i wspólnie powinni leczyć społeczeństwo dotknięte ogromną ilością cielesnych i umysłowych chorób, społeczeństwo podległe, wskutek wadliwej organizacyi, fizycznym i duchowym męczarniom. To jest zadaniem medycyny, nakazanem przez praktyczną filozofię.

Zastanawiając się nad temi pomysłami filozofa, który na stosunki społeczne z nowego zapatrywał się stanowiska i widział je w zupełnie innem świetle niż wszyscy, spytałem chcąc dokładniej zgłębić jego pogląd:

— Jak trzeba rozumieć owo dośrodkowe i odśrodkowe działanie rozlicznych wpływów na człowieka? Muszę przyznać, iż tego dostatecznie nie pojmuję.

— Nazwij to inaczej — odrzekł — jeśli ci się wyrażenie nie podoba. Dość, że ten wpływ dwoisty istnieje, jest faktem, któremu żaden empiryk, żaden pozytywista zaprzeczyć nie może. Wywiera on stanowczo nacisk na naturę jednostki, zarówno jak całego społeczeństwa; więcej powiem: kieruje losami człowieka i narodów. Dlatego powinien być przedmiotem hygieny jak etyki; powinien zajmować fizyologa i filozofa, prawodawcę i teologa; a tem samem powinien zwracać na siebie szczególną uwagę Rządu czyli prawodawczego i rządzącego Ciała, które Trentowski przedstawił w uosobieniu jednostki z ogólną nazwą: cybernety.

— Gdy mowa o empiryzmie, proszę o fakta.

— Bardzo dobrze. Niczego a priori nie dowodzę. Chociaż idea jest odwieczną, dla wzroku naszego pierwej była rzeczywistość w działaniu praktycznem, niż teorya. Zaraz więc wskażę fakta. Wszystko, cokolwiek kierownicy społeczeństwa czynią, czy to teoretycy, jak filo-

zofowie, czy to praktycy, jak prawodawcy lub lekarze, jedną ręką tworzą a drugą niszczą. „Żyj według praw wskazanych przez naturę i moralność. Słuchaj głosu sumienia twego. Nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miłe. Pracuj, ażebyś był pożytecznym członkiem społeczeństwa, od którego nawzajem pomocy potrzebujesz. Staraj się kształcić umysł i doskonalić się we wszystkiem. Szukaj dobra i piękna w każdej rzeczy i w każdej czynności. Unikaj wszystkiego, co jest złem lub szpetnem. Czuwaj nad powierzonemi twej pieczy istotami. Prowadź podwładnych swoich drogą cnoty i powinności. Pamiętaj w każdej chwili o wysokiej godności i wielkiem posłannictwie człowieka“.

Oto są mniej więcej wszystkie główne przepisy Biotyki, czyli nauki o życiu naszem. Zgodzi się na nie każdy etyk, każdy hygienista, każdy prawodawca, każdy teolog. Taką jest teorya, piękna i sprawiedliwa. Przepisy te znajdujemy we wszystkich księgach od niepamiętnych czasów. Na ten temat grają i śpiewają mędrcy i prostaczkowie wszystkich wieków. Tymczasem cóż uczyniono, pytam, ażeby przepisy te zastosować do życia, zamienić je w czyn? jakie podano dla urzeczywistnienia ich środki? Ludzie zwani „praktycznymi“ zrobili wszystko, co tylko dało się dotąd zrobić, ażeby tę teoryę uczynić niepraktyczną, niewykonalną. Zrobili wszystko, nawet, ażeby te zasadnicze przepisy zniszczyć ze szczętem. Natomiast powstały nowe przepisy utylitarnego pozytywizmu, któremi chlubi się wiek dziewiętnasty. Dadzą się one streścić w następujący sposób: „Życie, to u ż y c i e. Sumienie jest wymysłem zacofanych fanatyków, kierującym głosem powinien być racyonalizm. Nie troszcz się o nikogo, a postępuj tak, aby tobie było dobrze. Pracuj na to, abyś sam ze swej pracy otrzymał pożytek. Kształć umysł w tym celu, abyś wiedział, co największą może ci przynieść korzyść. Dobro i piękno są to wyrazy konwencyonalne; albowiem to, co dla jednego jest dobrem i pięknem, dla drugiego jest złem i szpetnem. W naturze niema bezwzględnego dobra ani bezwzględnego zła; niema też nic szpetnego; zatem szukanie jednego a unikanie drugiego jest tylko mrzonką utopii, gdyż natura nigdy nie schodzi z wieczystych swoich torów. Myśląc o sobie samym tylko, każdemu zostaw swobodę działania; nie

masz prawa bowiem naginać do twych osobistych pojęć znajdujących się przypadkiem pod twoją opieką istot. Cnota i powinność są to wyrazy nominalne, nie mające wyraźnych kształtów ani granic; prowadzą do poświęceń, które praktyczny rozum odrzuca, jako śmieszne zabytki obskurantyzmu; jedyną przeto racyonalną drogą dla społeczności jest droga natury czyli fatalne posłuszeństwo sile. Godność człowieka jest szumnie brzmiącym wyrazem bez znaczenia, a posłannictwo jego mrzonką, gdyż człowiek jest tylko biernem narzędziem w ogólnym mechanizmie natury".

— To nie są fakta. Wreszcie nie każdy pozytywista takie głosi zasady.

— Jakto nie!? Są to zdania, zasady, przepisy, które już malec, zaledwie myśleć zaczynający, słyszy głośno, wyraźnie, w domu, na ulicy, wszędzie; później czyta je i przyjmuje d o s i e b i e. Oto jest wpływ d o ś r o d k o w y.

— Ale też słyszy, czyta, w domu, na ulicy, wszędzie, zdania, zasady, przepisy pierwej wymienione, a z ostatniemi zupełnie sprzeczne.

— Tak! To też powiedziałem, że uczeni co jedną ręką zbudują, to drugą ręką burzą; a uczniom kształcącym się tylko głowy zawracają. Więc wychodzą na widownię społeczną ludzie z przewróconemi pojęciami, albo całkiem źli i szkodliwi. Ci tedy wydając z s i e b i e słowem i czynem zasady, jakiemi sami są przejęci, wywierają wpływ o d ś r o d k o w y.

— Słyszałem już o tem przy innem porównaniu. To jednak co dopiero powiedziałeś, nie może być jeszcze, w ścisłem znaczeniu, zaliczone do faktów i nie objaśnia dokładnie owego dwoistego wpływu.

— Przypuśćmy, że propagowanie zasad słowem i czynem, codzienną rozmową lub pismem i przykładem w życiu, nie jest, jak mówisz, w ścisłem znaczeniu faktem. Patrzmy na pierwsze lepsze miasto, które wskutek ustroju swego ma być ogniskiem oświaty. Jeżeli zgodzić się można na wyłuszczone dopiero przeze mnie pojęcia o naturze człowieka, jeżeli można zgodzić się na to, iż prawdą jest istnienie duszy w człowieku, przyznać musimy, że miasto posiada wszelkie materyały służące do zepsucia, zakażenia, zatrucia tak

ciała jak duszy. Fizyczna i moralna atmosfera tak jest urządzona, że człowiek oddycha wszystkiem, co tylko jest dla niego szkodliwem; wciąga w siebie wszystkie pierwiastki rozkładowe, zabójcze; zostaje pod wpływem niezliczonych czynników działających na jego oddech, wzrok, nerwy, na jego umysł i wyobraźnię. Jeżeli nerwy wzroku, słuchu, i całego organizmu, koncentrując się w mózgu, są przewodnikami łączącymi świat zewnętrzny z wewnętrznym, wrażenia fizyczne z duszą, czyliż można przypuścić, ażeby wpływ zewnętrzny pozostawał bez żadnego śladu na umyśle? Trzebaż wiele mówić o ogromnej ilości dymu, o nagromadzeniu mefitycznych wyziewów wszelkiego rodzaju, o zepsutem powietrzu, o sztucznem świetle, o gazie, o szkaradnych zapasach pożywienia, fałszowanych napojach, śmierdzącej wodzie? Trzebaż mówić o tym ciągłym gwarze, mącącym sen naturalny, spokój myśli, drażniącym nieustannie nerwy? Tu huczą, krzyczą, bębnią; tam dzwonią, grają, piszczą, strzelają.

— Hygieniczne przepisy — przerwałem — przy dobrej organizacyi miasta, starają się złemu zapobiegać.

— Zaczynają dopiero myśleć o tem. Ale sto lat upłynie zanim złe usunąć zdołają. A tymczasem ludność w miastach wzrasta w przerażający sposób; domy budują jedne przy drugich; odkradając naturze światło i wszystkie jej odżywcze czynniki; nikt zaś nie myśli o tem, że miasta są zbiorowiskiem miazmatów, skąd powstają niezliczone choroby. To dopiero mowa o ciele. Jest jednak w urządzeniu miast źródło nie mniej strasznych a nawet straszniejszych klęsk, spadających na ludzkość, mianowicie: w najrozmaitszych kształtach p o k u s y, wpływające bezpośrednio na umysł, na duszę, na czystą naturę człowieka. Od dziecka małego aż do starca nad grobem stojącego, każdy wiek znajdzie ponętę do zejścia z drogi prawami przyrodzonemi wskazanej. Weźmy kilka przykładów. Dla małej dziewczynki wyraz m i ł o ś ć nie ma żadnego szczególnego znaczenia. Umie kochać mamę, ojca, siostrę, brata, kotka, pieska. Jestże w organizmie społecznym silniejszy czynnik nad miłość, nad to naturalne najpierwsze uczucie? Jestże bogatsze, obfitsze źródło nieszczęść

i zbrodni jak w miłości? Dlaczego? Bo jej odjęto zupełnie przyrodzony, dozwolony wieczystem prawem kierunek. Dziewczynka nie przypuszczała, że w małżeństwie istnieje inny związek nad połączenie dwóch dusz, dwóch sił, dwóch osób dla spólnej pracy i spólnego życia. Nie wiedziała, że ludzie nadali inny, według nich ważniejszy cel małżeństwu. W prostocie swej mniemała, że błogosławieństwo kapłana dane klęczącym małżonkom było jedyną przyczyną macierzyństwa. Wtem... wychodzi na ulicę, do publicznego ogrodu... Cóż widzi?...

Przypomnijmy sobie, co się dzieje w Paryżu, w Londynie, w Berlinie w Wiedniu... A oweż teatry!... a owi pisarze jak Zola i cała ta kloakowa literatura!... Ach, nie mówmy o tem. Serce się ściska; wstręt bierze...

— Zwrócono już na to uwagę — rzekłem. Pedagogowie, filozofowie uznali, a może słusznie, iż lepiej jest stopniowo odsłaniać dziecku prawa natury, nie ukrywając ich tajemnicy.

— A żaden z pedagogów, żaden przyrodnik, żaden filozof nie krzyczy w niebogłosy, że p o t r z e b a u s u n ą ć p r z y c z y n y z ł e g o, ponęty, wzbudzające najprzód w dzieciach c i e k a w o ś ć, a następnie działające na nerwy, na wyobraźnię; i to w wieku, kiedy krew kipi, wyobraźnia pała! Prawodawcy i mędrcy bezwyznaniowi niszczą węgielny kamień, najgłówniejszą podstawę społeczeństwa: małżeństwo; kruszą najświętsze ogniwo społecznego łańcucha. Z małżeństwa zrobiono bezecny handel, bezecniejszy, niż był niegdyś handel murzynami. Między niewolnicą do sprzedania a panną wystawioną na okaz, jest tylko ta różnica; że pierwsza okazywała się na targu nagą, druga zaś na balu występuje wpół-nagą. Na niewolnicy kupujący nigdy się nie oszukał; na pannie szukającej męża prawie zawsze. A mówię tu szczególnie o klasie wyższej, o tej klasie, która się zowie oświeconą lub arystokratyczną. W dziewiętnastym wieku doprowadzono oszukaństwo w tym targu do najwyższej doskonałości. Wchodzisz na bal. Zachwycasz się wdziękami, cerą płci nadobnej, którą od młodości nawykłeś szanować, wielbić... Twarz pokostowana, usta malowane, brwi malowane, rzęsy malowane!... Niedawno statystyk jeden obliczył, że farbami, których używają corocznie kobiety Stanów

Zjednoczonych dla oszukiwania głupców i siebie samych, możnaby 37.000 domów pomalować. Według tej proporcyi przypada na Europę do 400.000 domów.

— Gdyby kobiety słyszały, co o nich mówisz, miałbyś w nich zawzięte nieprzyjaciółki.

— Przeciwnie! zasłużyłbym na ich wdzięczność; bo dowiódłbym, że od bielidła i kraski starzeją się przed czasem, dostają zmarszczek; że mączka ryżowa, która im się wydaje nieszkodliwą, jest zabójczą dla wdzięków, dla gładkiej cery, zalepiając pory w twarzy, potrzebne dla transpiracyi.

— Cóż dalej? — spytałem szyderczo. — Niedawno rozprawiałeś o potrzebie reformy społecznej, zaczynając od przywrócenia ludzkości zdrowych zębów; teraz doszliśmy do ryżowej mączki. Można mniemać, że w waszym XX wieku wszystkie kobiety mają śliczne ząbki, rumiane z natury usta i płeć alabastrową z różowym odcieniem. Nie mały to postęp. Ale przecież i w naszem stuleciu nie wszystkie dziewczynki są tak naiwne jak sobie wyobrażasz i nie wszystkie kobiety podobne do malowanych lalek.

— Ale prawie każda dorastająca panienka ma pojęcie o miłości z francuskich romansów, a o małżeństwie z codziennych rozmów przy finansowych spekulacyach. Czy mniemasz, że mam im to za złe? Bynajmniej! Cóż one winne, gdy je tak wychowują? Święty Antoni nie wytrzymałby tych pokus, jakiemi są otoczone młode dziewczęta w każdej chwili. Jeżeli która z nich jest dobrze wychowaną, organizacya społeczna jest tak urządzona, że zetknięcie się ze światem niszczy wszystkie nagromadzone skarby duszy i umysłu. Najpiękniejszy kwiat więdnie od powiewu zepsutej atmosfery. Dziewczyna bierze książkę do ręki... Miłość pośród zbrodni. Idzie do teatru... Cudzołóstwo! Zdaje się, że treścią dziewiętnastego wieku jest cudzołóstwo. To stało się najbardziej ulubionym przedmiotem wszystkich pisarzy romansideł i utworów dramatycznych. Nareszcie młoda rozmarzona główka wychodzi na ulicę; przegląda wystawę strojów, kosztowności. Magazyny!... magazyny!... To raj dla kobiety... wstęp do raju!... Co za kapelusze!... Wstążki... Suknie!... Perły!... Djamenty!... życie całe poświęcić za rok, za miesiąc, za chwilę szczęścia z taką miłością... w takim stroju!... Sprzedać się, byleby mieć

taki powóz, takie konie, taką willę!... A za to, że się „poświęciła“ dla męża, dając mu rękę bez przywiązania, z gotową myślą krzywoprzysięstwa, uważa siebie za uprawnioną do szukania nagrody w występnej miłości.

— Każdy przecież romans, każdy dramat ma cel moralny — rzekłem, byleby tylko sprzeczać się z filozofem.

— A tak!... prowadzi przez błoto, bezeceństwo do moralnego celu, do którego już nie dojdzie zbrukana i osłabiona namiętnościami kobieta. Wreszcie w tych obrazach tyle rozkoszy! Ona wie, co jest złem; wie, że ją czeka pokuta, smutna przyszłość, straszna może kara!... Ależ wszystko trzeba opłacić!... Chwila rozkoszy warta wiele lat cierpień!... A potem... Bóg łaskaw... przebaczy!... I ludzie przebaczą!... Tak rozumuje niejedna i brnie coraz dalej... i wpada w przepaść.

— Surowym jesteś. Trzebaż wybaczać ludziom słabostki.

— Słabostki wybaczam. Ale to nie słabostki! To są zbrodnie. A największą zbrodnię popełniają ci właśnie, co z góry liczą na miłosierdzie Boga. Wszak kościół zalicza do największych grzechów zbyteczną ufność w miłosierdziu bożem. Hrabina K. za grzechy młodości i lekkie z Napoleonem I. życie, nosiła postronek na szyi. Wolałaby nie grzeszyć i postronka nie nosić. To najzgubniejszy przykład! Niejedna mogła sobie powiedzieć: „Ja także, jak będę stara, wyspowiadam się i włożę postronek na szyję“. Te mniemane Magdaleny, pośród gorszących książek i teatrów, pośród ponętnych strojów i rozpustnych tańców, są najzjadliwszym, zaraźliwym miazmatem dla niewinnych istot. To jest właśnie ów zewnętrzny wpływ, owo dośrodkowe działanie na duszę.

— Dlaczego jesteś tak srogim dla kobiet?

— O mężczyznach jeszcze nie mówiliśmy w ich stosunku do płci nadobnej. Czem są dla kobiet romanse, skandaliczne komedye, przepyszne stroje, magazyny, świecidła, tem są dla mężczyzn kobiety. One podobnież działają na kształcenie się lub przekształcanie duszy i wszelkich władz umysłowych drugiej połowy rodu ludzkiego. One wywierają stanowczy wpływ na losy społeczeństwa.

Kobieta powinna być jednym z najgłówniejszych przedmiotów badań dla filozofa. Fizyolog zarówno jak psycholog znajdzie w niej pierwotną przyczynę, causa prima, a często jedyną bezpośrednią przyczynę wielu zjawisk, wielu nawet najważniejszych dziejowych zdarzeń. A czyż dotąd zastanowiano się nad tem, jakby należało? Jedni Francuzi, którzy przy całej pozornej lekkomyślności, są najbardziej myślącym i najpraktyczniejszym narodem, jedni Francuzi tylko dostrzegli, że dla dośledzenia zbrodni najczęściej trzeba szukać jej źródła w kobiecie. „Cherchez la femme“ weszło w przysłowie i stało się niejako hasłem policyi w poszukiwaniu. To samo możnaby powiedzieć o polityce, w badaniach historyozoficznych. Od Semiramidy i Kleopatry aż do pani Pompadour i marszałkowej Mac-Mahon najgłówniejszą sprężyną polityki była najczęściej kobieta. Nawet duma osobista, chęć sławy nie osłabia tej oczywistej prawdy, chociaż tu, jak we wszystkiem, są wyjątki; ale tylko wyjątki, które ogólnego prawidła nie niszczą. Nieraz najwięksi monarchowie, najznakomitsi wodzowie szukali sławy, przelewali krew, wyciskali łzy milionom, stawiali na jedną kartę losy narodów, ich przyszłość całą, aby wieńce tryumfów swoich składać u stóp „ubóstwionej“... Cóż dopiero mówić o życiu powszedniem, codziennem!... Iluż jest takich, co życie całe, sumienie, cnotę, wszystko poświęca... za jeden pocałunek... za jedną chwilę... w objęciach ukochanej kobiety.

— Takich niewielu — odezwałem się stanowczym głosem.

— Niewielu! — odparł ironicznie filozof.—Nie znasz ludzi! Albo sam nie masz wyobraźni, serca, nerwów, i siebie nie badałeś; nie wiesz do czegobyś doszedł, gdybyś puścił wodze wyobraźni, sercu, nerwom; albo nie zgłębiałeś natury ludzkiej; nie badałeś czynników wprowadzających w ruch cały mechanizm. Lecz i tu nie obwiniam jednostek, a cały ciężar odpowiedzialności, strasznej odpowiedzialności, wkładam na organizacyę społeczną, na tych mniemanych mędrców, na ludzi „praktycznych“ bez praktyczności, na teoretyków bez myśli, na pozytywistów bez dodatniego doświadczenia, na ideologów bez idei, na pracowników bez poważnej pracy, na „przyjaciół ludzkości“ pracujących dla ludz-

kości bez człowieka, dla społeczeństwa bez narodów, dla narodów bez rodzin. O wszystko złe, co tylko widzimy w dziewiętnastym wieku, obwiniam medyków, psychologów, polityków, prawodawców, naturalistów, filozofów.

— Zmiłuj się! Z takiemi pojęciami, gdybyś żył w naszym XIX wieku naraziłbyś się wszystkim; w każdym miałbyś wroga. Okrzyczanoby cię za szaleńca, a co najmniej za zarozumialca.

— A! co mnie obchodzi wasz dziecinny, ciemny, barbarzyński dziewiętnasty wiek! do was nie należę.

— Unosisz się — rzekłem, śmiejąc się, wskazawszy obręcz na głowie filozofa, — zapewne nie dość mocno przykręciłeś śrubkę umiarkowania.

Filozof pokręcił śrubkę w swoim kranioskopicznym przyrządzie i tak mówił dalej:

— Młodzieniec, wychodząc ze szkoły, marzy najprzód o tem, ażeby być pożytecznym dla rodaków, dla społeczeństwa, jeżeli przyjęły się w nim dobre ziarna nauki; marzy o tem, aby najpierwej dla siebie stał się pożytecznym, jeżeli w nauce widzi tylko rzemiosło i niby piekarnię „chleba powszedniego“. Potem rzuca okiem na kobietę. Marzyciel... poeta... przyszły obywatel, mający się poświęcić dla kraju... przyszły bohater... przyszły mędrzec... zarówno jak samolub myślący o sobie, topi całą przyszłość — w oczach kobiety... szczęście jeszcze, jeżeli w szlachetnej duszy kobiecej... ale zwykle topi całą istność swoją w jej ciele... Ulegając tym samym wpływom co kobieta, drażniącym go romansom, gorszącym widowiskom i wszelkim zewnętrznym czynnikom, nadto ulega jeszcze kobiecie. Na miłość, na małżeństwo zapatruje się podobnież. Zaczyna się polowanie na kobiety!... Dla przypodobania się im trzeba świetności albo środków, prowadzących do świetności, to jest, poprostu mówiąc: pieniędzy. Na osobiste zasługi, ani na zdolności żadna prawie nie zwraca uwagi. Do czegóż to potrzebne, gdy cała społeczność na to nie zważa?! Wreszcie kobieta nie zna się na tem. Kiedyż miała czas nauczyć się?... Świetność zatem czyli tytuł, znakomitą posadę, znaczenie, rozgłos... albo pieniądze, trzeba zdobyć, bądź co bądź... choćby podłością, choćby szarzaniem się w brudzie, choćby zaparciem się wszystkiego, co u ludzi „egzaltowanych“

nazywa się zacnem, pięknem. Ku tym celom gotowe są fabryki w XIX wieku. Dawniej, młodzieniec musiał wprzód wysługiwać się krajowi, zanim sięgnął po rękę dziewicy. W średnich wiekach, rycerz przelewał krew za ideę, za ojczyznę, za chrześcijaństwo. Walczył, zjednywał sobie szacunek ludzi, wielkie imię, cześć. Przed tronem króla, wobec starszych narodu, otrzymywał w nagrodę ziemię, skarby, tytuł. Król wręczał mu godła dostojeństw. Rycerz, hrabia, margrabia był dygnitarzem państwa, przedstawicielem narodu, przez osobiste zasługi. Szlachcic otrzymywał przywileje za szlachetne czyny. Tytuł, godność była niegdyś symbolem zasług osobistych. Dziś, to wszystko inaczej i łatwiej się odbywa. Fabryka tytułów i godności u litografa. Zamiast pergaminów bilet wizytowy!... Pierwszy lepszy kelner hotelowy mianuje cię hrabią... neapolitański — księciem... „Piu paga, piu pricipe“... Nikt nie kontroluje... Po francusku dodajesz do nazwiska swego d e. po niemiecku v o n... Możesz być nawet szambelanem jakiegoś dworu odległego, jakimś radcą lub prezesem, z łaski litografa... A jeśli masz powóz i liberyę z herbami albo szczęśliwie grasz na giełdzie, możesz być pewnym ręki tej... którą chcesz oszukać. Nikt cię nie nazwie zbrodniarzem, żaden rząd nie zamknie cię do więzienia!... Postęp! wolność!... dodał filozof z gorzkim uśmiechem. Czemu jeszcze nikt nie podpisuje się: ś w i ę t y Pawłowski, święty Gawłowski ?

— Przywiązujesz zbyt wiele wagi do słabostek ludzkich, na które trzeba być pobłażliwym.

— Suma tych słabostek składa śmiertelną chorobę społeczeństwa. To są symptomata zdradzające rozkład, zepsucie organizmu, prowadzące do śmierci. Pobłażliwość w tym razie jest grzechem. Jeśli społeczeństwa nie chcą leczyć ani medycy, ani prawodawcy, ani filozofowie, niechże je leczy o p i n i a p u b l i c z n a, która powinna być surową, nieubłaganą; bo tu idzie o życie lub śmierć. Ale gdzież znajdziesz opinię publiczną, któraby nie hołdowała interesom stronnictwa, przesądom albo ciemnocie?! Wszyscy prawie są przedajni w XIX wieku, nawet ci, którzy przywłaszczają sobie berło opinii publicznej, tylko... nie wszystko płaci się pieniędzmi... A głos bezstronnych jest głosem wołającym na puszczy. W tej puszczy,

gdzie tak wiele organicznych istot, teoryę Darwina usprawiedliwiających, a tak mało ludzi, głos puszczyków i sów najgwarliwiej się wznosi, pośród szczekania i wycia szakalów; a wtóruje im stujęzyczna pressa przekupionego dziennikarstwa, które pomaga utrzymywać społeczeństwo w ciemnocie, w chaosie bezprawia, w gwarze nigdy nie kończących się wojen. Wszak Reptilienfond to wynalazek waszego wieku!

— Pokręć mocniej śrubkę chłodnego rozumowania; bo się zapalasz i przesadzasz.

— Nie; nie przesadzam. Dzieje waszego społeczeństwa, fakty, statystyka świadczą, że mam słuszność. Trzeba mówić prawdę, trzeba ostrzegać. Choć sterników wielu, nikt nie naprawia rozbitej łodzi!... Słabostki!... mówisz. Drobniutkie otwory w okręcie mogą przyprawić go o zgubę. Któż dziś kieruje społeczeństwem? Czy uczeni? Ci oddani swoim wielce mądrym specyalnym studyom. Tomy olbrzymie zapisują o paleontologii, albo o filologii. Miano literata stało się synonimem rzemieślnika. Arystokracya prawdziwa, dawna abdykowała, usunęła się z widowni i ginie. To są „moriturі“. Starożytna szlachta miała prawo do bytu, bo miała zasługi. Ale wyjąwszy małe kółka oligarchów związanych z sobą dla spólnego podtrzymywania siebie tylko; co się z nią stało? Gdzie są opiekunowie ludu? gdzie protektorowie nauk i sztuk pięknych? Gdzie są Mecenasi? gdzie Medyceusze? gdzie Załuscy, Ossolińscy? Dzisiejsza szlachta podobna do okrętowej flagi zatkniętej jeszcze zuchwale na statku bez masztu. Stare imiona!... Dowódzcy bez wojska... Zagwożdżone działa... Zbroja zardzewiała... Zbutwiała szabla złotolita!... Potomkowie wielkich rodzin nie poczuwają się do żadnych obowiązków; poprzestają na genealogicznem drzewie i wołają z westchnieniem: „Motłoch dziś rządzi społeczeństwem!“ Tymczasem na wyższe szczeble wdzierają się szczęśliwi finansiści, których godłem: Ibi patria ubi bene, albo samozwańcy improwizowanej arystokracyi, którzy nie są ani potomkami znakomitych rodów, ani też protoplastami z zaszczytnem wspomnieniem być nie potrafią. Wierz mi: arystokracya gnije, demokracya zdziczała, światła niema a społeczność... próchno!

— Przerażający kreślisz obraz, a nie całkiem sprawiedliwy. Mógłbym ci za jednym tchem mnóstwo znakomitych i pożytecznych mężów ze starożytnej szlachty wyliczyć, zajmujących ważne stanowiska we wszystkich krajach Europy. Również, mógłbym wyliczyć wielu nowych przewodników bez przesądów, liberalnych.

— Błędne ogniki... meteory... albo ludzie nie pojmujący potrzeb społeczeństwa, nieubłaganego prądu ducha czasu. „Le succes est le roi du XIX siecle“, powiedział jakiś francuski pisarz; i ma słuszność. Powodzenie, rzekłbym, to łaska Panurga. Przepych, złoto, dostojeństwa bez zasług, — oto są bożyszcza dzisiejszego społeczeństwa, ideały młodzieży. Ażeby dojść do tych celów, niemal każdy ściera przyrodzoną krasę z czoła, albo staje się posłusznem narzędziem, staje się giętkim, miękim, poddającym się za lada wiatru powiewem, za lada skinieniem. Szarlatan albo pudel!... Z reklamą w ręku, — albo z obróżką na szyi. To są uczniowie tej wielkiej szkoły, która się nazywa „ś w i a t e m“. Przykład idzie z góry. Na klasę wyższą patrzy ubogi rzemieślnik, okryty potem robotnik, zgłodniały wyrobnik. Nie wie on gdzie właściwie źródło złego leży; nie wie, że wadliwa organizacya społeczeństwa jest przyczyną wszelkiej nędzy. Zazdrosnem okiem spogląda na każdego, co ma lepszą odzież, wygodniejszy dom. Chciałby mu sprostać, a nie mogąc, gniewa się; nienawidzi wszelką wyższość, choć naśladuje możniejszych lub szczęśliwszych. Wypowiada wojnę „kapitałowi“, bo go sam nie ma. A zapomina, że gdyby doszedł do kapitału, na tej zasadzie, której się trzyma, miałby także licznych wrogów. Nie chce uznawać społecznej powagi, bo mu przyjaciele wierzący w siłę powiedzieli, że on sam jest powagą, dlatego, że ma za sobą siłę tłumu. Szamoce się, zżyma; mniema, iż oprócz klasy, do której on należy, nikt nie pracuje; myśli, że robotnikiem, wyrobnikiem, ten tylko, kto pracuje rękami; zaciska pięści i idzie topić smutek... w kieliszku. Moraliści występują z mowami, z kazaniami... Ale za wielką szybą — świątynia zbytku, do której ubogiemu wzbroniony przystęp; — na scenie dramat idealizujący zbrodnie; — obok jednego kościoła sto domów z rozpalającemi napojami: różnobarwne

latarnie nęcą do zabawy... brzmi muzyka, huczy bęben, wrzeszczą trąby... gwar, wesołość... „Ostatni grosz warto przehulać!“... „Miło!... słodko!... zupełnie tak jak u panów!“... Takie same suknie, kapelusze, trzewiki, rękawiczki“... Więc równość!“... Do takiej równości doprowadził społeczeństwo p o s t ę p!... Lecz równowaga chwieje się... nędza do drzwi kołace... Trudno się cofnąć. Namiętności już się rozigrały; pragnieniom niema granic; nowe żądze rodzą się, wzrastają. Co może je zadowolnić? Zbrodnia. Przestępca idzie pod sąd; zamykają go w więzieniu, gdzie uczy się przebiegłości i wychodzi stamtąd większym łotrem!... To jest prawdziwą szkołą dziewiętnastego wieku. Czy neurologowie zastanowili się nad tem, że nerwy ludzkie nie mają dość siły odpornej, aby nie być drażnionemi milionami pokus, ponęt, sideł zastawionych przez nikczemną spekulacyę, na mocy wolności handlu i przemysłu, dozwolonych „legalnie“, przez tak zwane prawo? Czy zastanowili się: że te niewinne na pozór, lecz zbyt liczne i zbyt częste „rozrywki“ rozrywają, rozprzęgają system nerwowy? że działają na umysł, na wyobraźnię, na usposobienie, na sposób myślenia, słowem na duszę i jej władze?

Czy który z prawodawców lub filozofów zwrócił uwagę na to — że owe niezliczone zewnętrzne czynniki, działające bezpośrednio na zmysły, działają za pośrednictwem nerwów, w dośrodkowym kierunku, na ogólny stan zbiorowego ducha, a więc na losy społeczeństwa? Możnaż się spodziewać, aby na odwrót, w kierunku odśrodkowym, wypływała zdrowa myśl z tak przygotowanego ducha, kąpiącego się ciągle wraz z ciałem w mieszaninie najszkodliwszych naturze człowieka czynników?!...

Nastąpiło długie milczenie.

— Nasz XX wiek — rzekł wkońcu filozof — zbadał nerwy; zrozumiał wielką ich doniosłość i olbrzymi wpływ na duszę, drogą idącą od zmysłów przez mózg. Nie mógł jeszcze zupełnie usunąć wszystkich wkorzenionych, dziedzicznych wad, które nam jako choroby dostały się z przeszłych pokoleń, ani też całkowicie zapobiedz szkodliwym zewnętrznym działaniom; więc wymyślił przyrząd, który widzisz u mnie na głowie.

Dziwny ten człowiek pogrążył się w głębokiej zadumie, zdjąwszy obręcz, która mu snać cisnęła czoło W twarzy błyszczał żar krwi poruszonej. Piersi wznosiły się silniejszym oddechem. Zapuściwszy palce w bujne włosy, patrzył przed siebie wzrokiem, który nie zdradzał obłąkania, lecz jakiś stan podniesionego uczucia wyrażał, stan ekstazy przenoszącej w świat inny. Zdawało się jak gdyby nie wiedział gdzie się znajdował, co się wkoło niego działo. Spytałem go nieśmiało, cichym głosem:

— U was w XX wieku wierzą w istność ducha?

— Prawie wszyscy — odpowiedział spokojnie.

— A więc i w istność indywidualnej duszy człowieka ?

— Tak. Nie jest to tylko wiarą, lecz owocem naukowych badań. Jest to raczej wiara, która otrzymała sankcyę rozumu. Doszli do tego przekonania uczeni, zgłębiwszy naturę nerwów i ich działalność w związku z objawami, w których nerwy nie biorą żadnego udziału.

— Powiedziałeś: „Prawie wszyscy". Więc są ludzie innego zdania ?

— Są sceptycy, jak w czasach najodleglejszej starożytności, jak zawsze i wszędzie. Ale ta racyonalna wiara, jeśli tak można się wyrazić, ta wiara wyrozumowana stała się tak powszechną, że ci, którzy jeszcze wątpią o istności ducha w znaczeniu powszechnem i osobowej duszy w szczególności, uważani są jako chorzy, albo narażają się na śmieszność. Jest to bowiem to samo, co wątpić w biały dzień o istnieniu i działaniu słońca, gdy chmurami zakryte. Gdybyśmy słońca z powodu chmur lub mgły nigdy nie widzieli, czy idzie za tem, żeby wcale nie istniało ?

— Więc może porównywacie ducha ogólnego do słońca a dusze pojedyncze do promieni ?

— My tak dalece w to się nie zagłębiamy. Porównywać można, lecz porównanie niczego nie dowodzi. Na cóż hipotezy, które ludzkości żadnego pożytku nie przynoszą ?

— Jakaż przyszła wam korzyść z tej, jak nazywasz, wyrozumowanej wiary?

— Ogromna! Skoro wiara w dusze stała się zdo-

byczą nauki, na tej podstawie i wychodząc z tego punktu, zreformowaliśmy całe społeczeństwo. Zreformowaliśmy naukę o ciele i o duszy w stanie normalnym i patologicznym, a więc naukę leczniczą; zreformowaliśmy prawodawstwo, kodeks karny, wszystko. Znaleźli się fanatycy, którzy tak olśnieni byli tem odkryciem na polu naukowem, że wpadli w ostateczność sceptycyzmu i już niczego nie widzą tylko ducha, w każdem jestestwie, w każdym ruchu. Duch, wszędzie duch!... Tak jak są u was materyaliści, co widzą tylko materyę i fizyczną siłę w całym świecie, tak też u nas są spirytualiści, wierzący wyłącznie w istnienie i potęgę ducha. Dla nich ciało, materya nie istnieją. Im się zdaje, że to są jakieś atomy, jakieś drobne odbryzgi maluczkiej formy znikomej, służącej na chwilę, to jest na kilkaset milionów lat, za rodzaj mieszkania dla wieczystego, nieskończonego ducha. Tymi atomami w stosunku do nieśmiertelności, nie raczą się nawet zajmować, zagłębieni całkiem w badaniu objawów ducha. My ich nazywamy p n e u m o m a n a m i. Jest to bowiem chorobliwy stan, owa druga ostateczność, wyniesiona do znaczenia niby filozoficznej doktryny. Ale w pewnym względzie ma przyszłość przed sobą; gdyż podobnie jak sceptycyzm pobudził do ścisłych empirycznych studyów, których ojcem, w nowszych czasach, można nazwać Bacona z Werulamu, tak krańcowy spirytualizm zaprowadzi na nowe drogi, wiodące do odkrycia nieznanych dotąd tajników wszechświata.

— Czy nie są to spirytyści, których nauka wyszła najprzód ze stołowych nóg, jak Alan Kardeck, Poniński i ów Amerykanin Stade, pędzony niedawno przez policyę ze stolicy do stolicy?

— Nie. Spirytystów XIX-ego wieku można podzielić na dwie kategorye. Jedni są szarlatanami, dla wyzyskiwania dobrodusznej publiczności. Do tych należą: Hume, Alan Kardeck, Stade i ciżba innych. Drudzy, jak doktor Justus Kerner lub podobni, łudzą siebie i tych co im zaufali, z dobrą wiarą; zapominając, że to, co się im wydaje odkryciem jakiejś tajemnicy, jest tylko rozdrażnieniem nerwów za pomocą podniesionej wyobraźni, albo przeciwnie: podniesieniem wyobraźni przy pomocy nerwowego rozdrażnienia. Do obu

tych kategoryi: wywoływaczy duchów, ołówkowych korespondentów z duchowym światem, kręcących się mózgów przy wirujących stołach i t. d. zaliczyć można theurgów. Do nich wszystkich zastosować się da przysłowie: mundus vult decipi, ergo decipiatur. Nasi spirytualiści wyszli z niemieckiej szkoły tak zwanych idealistycznych filozofów, mających swoje zasługi na polu naukowem; lecz, jak powiedziałem, zacząwszy, na wzór sceptyków, wątpić o wszystkiem, przypuszczając złudzenie zmysłów, lub lekceważąc ich działalność, stali się ideologami. Błądzą w krainach bujnych marzeń, wierząc wyłącznie w działanie ducha, jako jedynej, transcendentalnej sprężyny, wprowadzającej w ruch świat cały. Może później okaże się, iż w części mają słuszność.

— Jakże urządziliście społeczeństwo XX wieku?

— Jak urządziliśmy? pytasz; czy jak urządzimy? — zawołał gość mój z uśmiechem, w którym przebijała się pewna gorycz, połączona ze smutkiem. Potrząsnął lekko głową.

— Społeczność XX stulecia urządzono na prawach natury, zastosowanych praktycznie do potrzeb postępowej ludzkości i wymagań nauki. Najprzód najpilniejszej gorliwości użyto do przywrócenia w człowieku normalnego stanu. Zaczęto jednocześnie leczyć ciało i ducha. Natura służyła za modłę, wskazówkę i narzędzie we wszystkich czynnościach. Głos natury stał się głosem stanowczo doradczym. Oblano zdrojami przyrodzonego światła ciało; wpuszczono wiele naturalnego światła do duszy. Oczyszczono powietrze atmosferyczne ze szkodliwych miazmatów; oczyszczono myśl ze szkodliwych przesądów i błędów. Stosownie do tego zbudowano mieszkania i urządzono szkoły.

— Więc miast w XX wieku niema?

— Ani miast ani wsi. Są mieszkania ludzkie, dość odległe jedne od drugich. Otoczone mnóstwem ogrodów, rozrzucone na wielkiej przestrzeni, łączą się ze sobą za pośrednictwem żelaznych kolei, na których chodzą wozy poruszane nie parą, lecz dynamiczną maszyną; domy zbliżone są wielką ilością szybko latających balonów, drutami telegraficznymi, telefonami i t. d. Do skrócenia dla wzroku odległości niezmiernie przyczynił się także wydoskonalony przyrząd optyczny, za

pomocą którego można widzieć wszystko, co się dzieje w dalekiej przestrzeni. Nazywa się megaloskop.

— Ten wynalazek ma jednak swoje niedogodności — rzekłem z uśmiechem.

— Bynajmniej. Chemia zrobiła ogromne postępy. Wynaleziono rodzaj gazu, którym można mniejszą lub większą przestrzeń otoczyć, jeśli kto chce być niewidzialnym. Jest to zupełnie taka zasłona jak np. koszula, mur, okienica, lub story; gaz ten bowiem jest nieprzeźroczystym.

— Czy podobnież jak w XIX wieku znaczna część mieszkańców pracuje albo bawi się w nocy?

— A nie! To przeciwne przepisom hygieny. Wreszcie niema potrzeby. Ale dla wygody tych, którzy koniecznie chcą lub muszą czuwać w nocy, siedziby oświetlone są z góry elektrycznemi światłami. Noc prawie tak jasna jak dzień; a światła elektryczne przyćmione są lekko wydobywającymi się gazami, ażeby oczów nie raziły. Wszystkie zaś latarnie z oświetlającemi gazami, z naftą, zniesiono zupełnie, jako szkodliwe. Wszędzie zastosowano elektryczność, nawet zamiast ognia zwykłego, w kuchniach i fabrykach; nadano jej bowiem nieprzerwany kierunek, zależący od mechanizmu, ręką ludzką poruszanego z wielką łatwością *).

— Wspomniałeś o reformie prawodawstwa. Jak się to stało?

— W tem niema nic nowego. Doszliśmy do celu, do którego dążyły poprzednie wieki. Zniesiono wszędzie, raz na zawsze, jedną z najstraszniejszych, a może najstraszniejszą ze wszystkich, plagę: centralizacyę, która jest hańbą dziewiętnastego wieku. Zdecentralizowano administracyę, a następnie prawodawstwo. Autonomicznie rządzące się prowincye podzielono na gminy. Prawo głosowania, zarówno jak prawo do zwierzchnictwa i urzędów mają tylko ludzie nieskazitelnej uczciwości, według stopnia ukształcenia i świadectw szkolnych; a we wspólnej Radzie tworzą prawodawstwo ciągle żyjące.

— Więc odrębne narody zniknęły?

— Przeciwnie! Uwydatniły się więcej. Autonomi-

*) Pisane w r. 1884.

czny rząd przy podziale krajów na gminy, z samorządem własnym, lecz znoszące się ze Zwierzchnictwem wyższem, wychodzącem z ich łona, zbadał miejscowe potrzeby, nawyknienia dawne, tradycye, pewne zamiłowania odwieczne i pewne odwieczne dążności, właściwe odrębnym rodzinom, pod wpływem klimatycznych czynników, zarówno jak pod wpływem nieprzerwanych pojęć. Nikt lepiej potrzeb, pojęć, a więc wypływających stąd obyczajów, zwyczajów i pragnień spólnych, nie pojmuje jak członkowie jednej rodziny, żyjący ze sobą razem lub w sąsiedztwie, od dziada, pradziada i praojców. Skoro tylko wzmocniono znaczenie i siłę d r o b n y c h r o d z i n, skoro tylko dla spólnego interesu, połączono je wspólnym węzłem; podniesiono tem samem znaczenie i siłę w i e l k i e j r o d z i n y każdej, to jest każdego n a r o d u.

— Granic niema?

— Granice sztuczne zniesiono; lecz natomiast tem silniej zarysowały się granice przyrodzone, narodowe, które nazwać można naturalnemi i moralnemi zarazem. Inaczej nie byłoby swobody ani własności. Jak każda rodzina musi mieć swoją swobodę i swoją granicę, choćby tylko po próg jedynej mieszkalnej komnaty; tak też naród musi posiadać te dwa najpierwsze, najważniejsze skarby dane mu przez naturę: w o l n o ś ć i w ł a s n o ś ć. Jak posiadanie tych dwóch skarbów przez rodzinę nie nadweręża wcale wolności i własności gminy, będącej związkiem pokrewnych, sąsiadujących z sobą rodzin, tak również wolność gminy i własność gminowa (która nie jest wspólną, jak chcieli k o m u n i ś c i, lecz sumą własności rodzinnych) nie nadwerężają bynajmniej wolności ogólnej ani własności ogólnej narodu, będącego związkiem pokrewnych, sąsiadujących ze sobą gmin. Norma przyjęta w urządzeniu każdego narodu zastosowaną została do urządzenia całego społeczeństwa.

— Jakże do tego doszliście?

— Zastanawiano się najprzód nad prawami jednego człowieka jako człowieka w ogólności i nad charakterystycznemi oznakami, cechującemi jego osobowość, to jest nieodłączną w nim rodowitość ze krwi i z ducha, czyli narodowość. Uznano, iż taki człowiek uzupełnia się dopiero w swej rodzinie. Zbadano prawa

indywidualne człowieka i prawa rodziny. Takowe zastosowano do większych i wielkich rodzin. Dalej od narodów przeniesiono je do całej społeczności. To nie przeszkadza bynajmniej wzajemnym stosunkom międzynarodowym społeczeństwa całego. Pragnienie bowiem zreformowania społeczeństwa, zaczynając od społeczeństwa, jak tego chcą socyaliści XIX wieku, jest utopią, absurdum. To tak, jak gdyby chcieć urządzić las, nie zaczynając pracy od drzew pojedynczych. Społeczeństwo bez narodów, jak naród bez rodzin, jak rodzina bez jednostek, nie da się pojąć; jest czemś nieokreślonem, abstrakcyą, nie mogącą być nigdy urzeczywistnioną. To las bez drzew.

— Wolność zatem jest u was nieograniczoną?

— Owszem; bardzo ograniczoną, dlatego też jest wolnością, której używają wszyscy. Dawne to określenie, znane każdemu filozofowi, że: wolność wtedy jest prawdziwą, gdy używana przez jednego, nie nadweręża w niczem wolności drugiego. Pewien uczony dziewiętnastego stulecia słusznie powiedział: „Wolność jest posłuszeństwem prawu“. Trzeba tylko, ażeby owo „prawo“ było rzeczywiście prawem a nie b e z p r a w i e m, nie jakąś konwencyonalną nazwą. Trzeba, ażeby się opierało na najwyższem prawie. Ale u was, w XIX wieku pojęcia zdrowe o wolności są na papierze, w teoryi, nie zaś w praktycznem zastosowaniu; a prawem: s i ł a m o c n i e j s z e g o. Sic volo sic jubeo. Tak chcę, tak rozkazuję.

— Trudno wszystko zastosować a singulis ad universalia. Trudno od pojedynczych drobnych praw dochodzić do ogólnych.

— Wcale nie. Daleko trudniej od ogółu schodzić do szczegółów. Praktyczny pozytywizm zaczynać powinien a posteriori, od zjawisk, będących w zakresie jednej pary oczów i jednego postrzegawczego umysłu, nie zaś a p r i o r i, od teoretycznych form, dostępnych tylko dla wyobraźni. Ale najbardziej oczywiste prawdy zbijać może sofistyczna dyalektyka „krzywych rozumów“. Masz swój własny pokój na pierwszem piętrze. Jesteś w nim wolny. Lecz wolność twoja powinna być ograniczoną. Nie wolno ci na podłogę beczkami lać wody i z pokoju twego zrobić sadzawki do kąpieli dla własnej wygody; albowiem woda pocieknie do sąsiada

na dole i mur nabierze wilgoci. Nie wolno ci w pokoju twoim hałasować i strzelać; bo przestraszysz albo zbudzisz przyległych mieszkańców. W dziewiętnastym wieku te prawa zastosowano do mieszkań miejskich, a nie zastosowano ich we wszystkich stosunkach społecznych na wielkie rozmiary. W tem cały błąd.

— A własność jak urządzono w XX stuleciu?

— Zupełnie tak samo jak wolność. Własność jest owocem wolności. Jak wolność, tak też własność jest osobistą i dziedziczną zarazem.

— Jeżeli wolność jest obwarowaną, przeto stowarzyszenia ulegać także muszą pewnym obostrzeniom. To prowadzi do sporów.

— Do sporów prowadzą tylko źle zrozumiane i źle położone zasady a nie ich wykonanie. W XIX wieku, pod obłudnem imieniem wolności dzieje się wiele rzeczy, które są wynikiem swawoli. Nie można przecież łączyć się w towarzystwo złodziejów albo podpalaczy. Skoro tylko pewne prawa przyrodzone, wieczyste, ogólne uznane są za obowiązujące dla wszystkich, już tem samem prawa pisane, ustawy na wieczystych prawach oparte, mają moc obowiązującą każdego. Z tych praw logicznie wyprowadzone wnioski określają co jest dobrem a co złem, co szkodliwem, a co nieszkodliwem. Do tego każdy musi się zastosować.

— Ponieważ w XX wieku uznano prawa narodów, jako wielkich odrębnych rodzin, zatem kosmopolitów niema?

— Są. Ale ci nie należą do żadnego społecznego ciała. Gdy bowiem nie chcą uznawać zasad i praw, któremi się rządzą odrębne ciała polityczne, już tem samem nie mogą być przypuszczeni do używania owoców, które z tych zasad i praw wyrastają. W XX wieku o ideach państwowych niema już mowy. Na miejscu państw wzmocniły się narody. Niektóre z nich połączone są ze sobą związkami jednoplemienności, nie straciwszy jednak praw indywidualnych. Idea społeczna o tyle istnieje, o ile opiera się na narodowych pierwiastkach. Kosmopolita zatem jest uważany jako zwierzę bez ojczyzny.

— Jaką jest forma rządu po większej części przyjęta w społeczeństwie dwudziestego wieku?

— Rozmaita. Stosownie do stopnia oświaty (to jest pojęć zasadniczych) narodu, tudzież stosownie do stopnia ukształcenia jednostek przewodniczących narodowi. U nas o formę rządu nikt się nie troszczy. Najważniejszą jest treść. A treścią politycznej organizacyi: c n o t a i r o z u m; cnota oświecona przez rozum i rozum oczyszczony przez głos przyrodzony sumienia. Z tych dwóch pierwiastków składa się prawo. Prawo rządzi wszystkiem. N o m a r c h i a.

— Czy między obywatelami XX wieku są bezwyznaniowcy?

— Są także bezwyznaniowcy, jak kosmopolici. Wszak wolno myśleć, wierzyć i działać każdemu, jak się podoba, byleby myśl, zasada lub czynność nie przynosiły szkody społeczności. Ponieważ, jak powiedziałem, pewne prawdy uznano za niewątpliwe, a prawa z nich wypływające za obowiązki, przeto nie trudno było się zgodzić na to, co przynosi korzyść, a co szkodę narodom. Bezwyznaniowcy zatem, którzy ani tych prawd ani tych praw nie znają, uważani są za szkodliwych. Wolno im myśleć, wierzyć, działać jak sami chcą, w zakresie tyczącym się ich własnej osoby; ale jako szkodliwi są wyłączeni ze społeczeństwa.

— Czyż to sprawiedliwie?

— Wszystko opierać się musi na pewnych prawdach jako na zasadach. Wszak żaden bank na rachmistrza lub kasyera nie przyjąłby człowieka, któryby wierzył i dowodził, że pięć odjąwszy od dziesięciu, zostanie trzy.

— Jakże urządzono kodeks karny, o którym wspomniałeś?

— Bardzo prostym sposobem. Na zasadzie: „Nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miłe“.

— To okropne! Więc na mocy prawa odwetu? według Starego Testamentu: „Ząb za ząb, oko za oko!“

Filozof uśmiechnął się złośliwie i wzruszył ramionami.

— Jak wy przywykliście do formy wszyscy! Forma zabija u was treść; materya tłumi ducha! Wy trzymacie się l i t e r y p r a w a; a my staramy się zbadać prawdziwe prawa znaczenie i cel. Przestępca za karę nie podlega wymierzeniu na nim sprawiedliwości w formie tegoż występku, który popełnił; bo w takim

razie rząd byłby tylko pozornie legalną organizacyą zbrodni; lecz cierpieć musi wszelkie następstwa spadające na jednostki lub społeczeństwo wskutek karygodnego uczynku.

— Na jakich zasadach opiera się przemysł i handel?

— Na zasadzie współzawodnictwa, które jest najpewniejszem źródłem bogactwa. Wszelkie opłaty, monopole i cła zniesione.

— A podatki?

— Pośrednich podatków niema, bo te powiększają tylko urojoną wartość towaru i są ukrytym, zdradzieckim ciężarem, którego ciśnienia ani doniosłości nikt nie zna. Podatki bezpośrednie rozłożone na wszystkich w proporcyi wzrastającej od dochodu. Są także podatki od przedmiotów należących do zbytku, to jest przechodzących rzeczywistą potrzebę. Ale przedmiotem zbytkownym nie nazywa się tylko, naprzykład, dyament służący do stroju albo perła. Kto potrzebuje, przypuśćmy, sześć kuflów piwa na dzień a pije ich dwadzieścia, spożywa czternaście szklanic zbytecznie i od nich płaci podatek. Czternaście kuflów piwa bowiem równie są miłe dla jednego, jak dla kogoś ozdoba z drogich kamieni. Suum cuique.

— Pijaństwo zatem wykorzenione?

— Nie zupełnie. Ale ograniczone są bardzo źródła pijaństwa, to jest fabryki i wzbronione wszelkie ponętne pokusy. Z wolności przemysłu i handlu nie wypływa prawo drażnienia nerwów i rozpalania wyobraźni. Jak można pozwolić na nieograniczone rozpowszechnienie lub używanie rzeczy, których nadużycie jest powolną trucizną, samobójstwem?

— Wszak wolny człowiek może pić ile mu się podoba.

— Tak. Może nawet w łeb sobie strzelić, jeśli mu się podoba; ale żadne prawo w świecie na to nie pozwala.

— Jakiej karze podlega pijak?

— Takiej, jakiej podlega każdy, kto jakimkolwiek sposobem niszczy sobie dobrowolnie zdrowie, zabija w sobie wolę i rozum. Przestaje być wolnym człowiekiem; a jako niewolnik namiętności wyłączony jest

z wolnego społeczeństwa, podobnież, jak niewolnik błędów.

— Niektóre prawa zatem są zbyt surowe.

— Gdzie surowe prawa, tam tylko prawdziwa wolność. Gdzie dobra straż sanitarna, tam zdrowie. Nie dość karać czyn karygodny, lecz trzeba srogo karcić zasadę występku.

— Kontrola trudna!

— Na straży stoi opinia publiczna z jawnym sądem; a sądzą cnota i rozum.

— Czy kobiety mają udział w organizacyi społecznej?

— Prawie taki, jak mężczyźni, wyjąwszy prace, które przechodzą fizyczne ich siły. Dlatego też postęp w XX wieku niemal podwojonym ruchem posunął się naprzód, gdy druga połowa rodzaju ludzkiego, z myślą świeżą, z rozumem niewyniszczonym, z duchem oczyszczonym przez poważne myślenie, z tem uczuciem właściwem niewieście, które nazywają instynktem, stanęła do spólnej pracy, w zakresie jej sił duchowych. Olbrzymie a wielce pożyteczne stąd następstwa. Kobieta bowiem z natury, a może wskutek odmiennego wychowania, wskutek słabszego organizmu ciała i innych ubocznych przyczyn, obdarzona jest większą siłą ducha, większą cierpliwością i wytrwałością, niżeli mężczyzna. Żaden mężczyzna nie jest zdolny do takich poświęceń, do takiego cichego zaparcia się, jak kobieta. Obwiniają kobiety o próżność. Nie znają ich. Z kobiet zepsutych biorą miarę do sądzenia o wszystkich. Chęć sławy jest próżnością, a ta należy do najsilniejszych bodźców dla mężczyzn. Kobieta cierpi, poświęca się i milczy. Ale w XX wieku nie uznano tak zwanej emancypacyi kobiet, o której tyle wrzawy narobił wiek XIX. Najprzód, sama nazwa jest niewłaściwą. Jak można mówić o emancypowaniu kobiet w wieku, w którym one przeważnie panują nad mężczyznami?! W XX stuleciu przeciwnie, mężczyźni wyzwolili się z pod zbytecznego wpływu kobiet. Nie straciły one nic na tem, albowiem przed niemi odkryło się obszerniejsze, godniejsze ich pole. Równouprawnienie kobiet, jak nazwano później emancypacyą, jest także wyrazem, nie mającym logicznej podstawy w ścisłem znaczeniu. Po-

trzeba było wskazać kobiecie taki obszar działalności, któryby w części zrównoważył zakres prac męskich. Ażeby dojść do tego celu, należało zwrócić uwagę nie na fizyczne tylko siły kobiet, lecz na martwy i nieprodukcyjny dotąd, a ogromny kapitał ich sił moralnych, czyli mówiąc właściwie, ich władz duchowych. Oddanie więc kobiecie praw należnych jej od natury nie jest czem innem, tylko restytucyą jej własności. Wszystkich praw będących przywilejem płci męskiej, kobieta z bardzo wielu powodów, na równi z mężczyznami używać nie może. Ma naodwrót przywileje takie, których pozbawieni są mężczyźni. Natura sprawiedliwie obdarza wszystkich. Ludzie tylko wypaczają jej kierunek i psują jej dary.

— Trudno określić granice, gdzie powinny się zatrzymać, a gdzie kończyć prawa i prace kobiet.

— Nic łatwiejszego! Tylko potrzeba zapytać o to naturę. Niewłaściwem i śmiesznem byłoby wyznaczać mężczyznę na piastuna małych dzieci, albo skierowywać go do pracy nad krosienkami, nad haftami, wymagającemi delikatnych rąk niewieścich. Lecz oburzającym jest widok kobiety rąbiącej drwa, dźwigającej kamienie, lub co się wszędzie spotykać zdarza, dźwigającej olbrzymie wiadra z wodą na głowie. A oburzenie to wywołuje nie kobieta, nieszczęsna ofiara społecznego organizmu, ale społeczeństwo i prawodawstwo, które toleruje takie zdeptanie praw przyrodzonych, nie umiejąc czy nie chcąc temu zaradzić. Postępowi mędrcy prawią o emancypacyi czy uprawnieniu kobiet! Zapominają o tem, że im pierwej trzebaby przynieść ulgę w wielu trudach, które ponoszą niesłusznie. Czemużby jednak kobieta nie miała być lekarzem dla swojej płci, urzędnikiem, botanikiem, chemikiem, sędzią, artystą, literatem? Są już w XIX wieku znakomite zdolności w każdym z tych zawodów, ale tylko jako wyjątkowe jednostki; wychowanie zaś powszechnie nie jest w tym kierunku urządzone. To też opóźnia rzeczywisty postęp w sferze ducha.

— Bądź co bądź, reforma dotychczasowego stanowiska kobiet jest z jednej strony ich wyzwoleniem czyli emancypacyą, a w innym względzie, równouprawnieniem. Nazwa tu nic nie znaczy.

— Nazwa tu ma ważne znaczenie, gdyż wiele

kobiet, a nawet wielu mężczyzn nie rozumie jej doniosłości. Nazwa powinna dokładnie wyrażać treść rzeczy i zakreślać granice działalności. Niejedna kobieta myśli, że jest już emancypowaną, równouprawnioną, postępową, gdy sobie krótko ostrzyże włosy, włoży zuchwale baranią czapkę na głowę, buty z cholewami, przywdzieje kaftan męski, pali cygaro i pije w knajpach ze studentami. Jest tylko śmieszną, a czasem pogardy godną!... Smutny przykład dała margrabina Dudevant, przybrawszy strój i imię męskie Jerzego Sand. Nie pojmuję dlaczego z równem prawem i na tak zrozumianej zasadzie, nie mieliby podobnież postępować mężczyźni! Wyobraźmy sobie jakiego pana Jana albo pana Karola, któremu nagle przychodzi genialna myśl nazwania się Joanną, Karoliną, Margaretą, przywdziania spódnicy i włożenia na głowę tiulowego czepeczka z różami, wstążkami. Jakby to pięknie wyglądało!... Ale ta pani czy pan George Sand, genialny sofista, zbrojny był wyzywającemi oczyma, bengalskim ogniem stylu, a piekielnym żarem namiętności; więc wszystko dozwolone!... Przebaczono jej nielogiczność i bezczelność; przebaczono nawet to, że zdemoralizowała mnóstwo kobiet, zatruła część społeczeństwa i przyczyniła się do upadku własnej ojczyzny. Pomimo to naród stawia jej pomniki!... W XIX wieku wszystko prawie jest nielogicznem, na co spojrzeć. Gdy kto występuje z zasadami liberalizmu, pewno jest despotą i ukrywa złe jakieś zamiary. Gdy kto powstaje na anarchię, pewno sam jest burzycielem i anarchistą. Uczony często nic nie umie, a przynajmniej rozsądnie myśleć nie potrafi. Ale wyuczył się zręcznie pozować na wielkiego człowieka. Wszędzie sprzeczności, komedya, szarlatanizm!... Europa jest śmieszną. A zarozumiałość nieuków potworna.

— Pozwól mi wykazać sprzeczność w twoich zdaniach tyczących się kobiety.

— Bardzo proszę.

— Sam powiedziałeś, że w XIX wieku i od dawnych czasów, kobiety rządzą mężczyznami. A jednak przyznajesz, iż dźwigają ciężary przechodzące ich siły fizyczne. W tem dowód, że kobieta zajmuje stanowisko podrzędne, z którego wyzwolić ją trzeba, i że niejedne dźwiga także ciężary moralne.

— Więcej ci powiem — odrzekł niezmieszany filozof — dźwiga jarzmo ciężkie, okropne, nieznośne, włożone na nią przez zwyczaj i społeczeństwo, a zwłaszcza póty, póki nie jest zamężną. I zdawaćby się mogło, że kobieta dostawszy się do jakiejkolwiek władzy, chce powetować za pomocą despotyzmu w jednym względzie, co traci przez niewolnictwo w drugim. Nie ma więc sprzeczności w tem co mówię, tylko zastanów się dobrze nad znaczeniem słów moich. W życiu społecznem kobieta, jako członek społeczeństwa, chociaż niczem nie niższa, a może wyższa od mężczyzny, pozbawioną jest wielu praw jej należnych. Te trzeba jej zwrócić! Znosić musi wiele cierpień. Te trzeba jej odjąć! Widząc niesprawiedliwość, a czując w sobie lub w swych wdziękach siłę, stara się jej używać i wywiera na ród męski wpływ wielki, wpływ nielegalny; gdyż, bądź co bądź, mężczyzna powinien być przewodnikiem kobiety i społeczeństwa. W życiu rodzinnem zaś, kobieta, prawie powszechnie, jest niewolnicą, narzędziem, rzeczą aż do stopni ołtarza; a po ślubie staje się domowym tyranem, ażeby wynagrodzić sobie straconą przedtem wolę; staje się często wstydem dla męża, zakałą rodziny; albo, jeśli znajdzie tyrana męża, jest znowu nadal niewolnicą! Taką jest smutna dola, na jaką kobietę skazał wadliwy organizm społeczny! Wszystkiego używać musi nieprawnie; gdyż w niczem przyrodzonych praw do niej nie zastosowano.

— Jakże temu zaradzić?

— Między Katarzyną II, a kucharką — żoną niemieckiego profesora, jest przecież jakaś pośrednia droga. Mówiłem już, iż pierwszem w szeregu uczuć ludzkich, naturalnem, świętem uczuciem jest miłość. Mówiłem, że ten święty przyrodzony popęd zohydzono, zrobiono z niego potworną karykaturę. Któż temu winien? Zwyczaj towarzyski. Węgielnym kamieniem, podstawą zasadniczą społeczeństwa jest, zarówno wobec ekonomii społecznej, wobec filozofii, jak wobec kościoła, małżeństwo. Jezus Chrystus powiedział, iż sakramentem jest małżeństwo. Wielkiej to doniosłości słowa! A ważne nietylko dla chrześcijan, lecz dla wyznawców każdej religii, dla naturalistów, prawodawców, filozofów; gdyż na tej prawdzie opiera się cała budowa społeczeństwa, ludzkości zdrowie i moralność.

Cóż zrobiono z małżeństwa? Zohydzono je, zrobiono z niego potworną karykaturę. Kto temu winien? Zwyczaj towarzyski. Ta najwyższa ustawa stała się środkiem do handlu, do spieniężania kobiet jak owce, jak rzeczy!... Mniemana cywilizacya XIX stulecia, ażeby pokryć ten haniebny handel przyzwoitym słowem, wynalazła mnóstwo sofizmatów, mnóstwo łagodzących wyrażeń w tym celu. „Zrobić stosowną partię“ (faire un parti de convenance); zrobić rozumny wybór; zawrzeć małżeństwo odpowiednie stanowi“ i t. p. nie znaczy w języku cywilizacyi: sprzedać kobietę, mówiąc poprostu. Wszak żenią się nawet zapomocą reklam i anonsów! Miłość do zawarcia małżeństwa uważaną jest jako podrzędny warunek. Bez niego, mówią zwykle, można się wcale obyć!... Dziewczyna trzymana w domu przyzwyczaiła się do swego stanu. Jest niewolnicą, towarem; ale poniżenia swego nie czuje; albo jeżeli kocha, wbrew przyjętemu zwyczajowi, jest nieszczęśliwą!... Cóż dziwnego, że o niczem częściej czytać, słyszeć nie można, jak o cudzołóstwie?!... cóż dziwnego, że kobieta doskonali się w oszukiwaniu rodziców, męża, wszystkich?!... cóż dziwnego, że w wielu miastach na sześcioro dzieci jest jedno nieprawego łoża?!... A ileż występków pokrytych tajemnicą ani nauka, ani najczujniejsza policya zbadać nie może!

— Jesteś okrutny! Zdajesz się być przyjacielem kobiet, a mówisz jak ich wróg najzaciętszy. Nie o każdym kraju, nie o każdej klasie powiedzieć to można.

— Kobiet wcale nie obwiniam. Obwiniam barbarzyńskie zwyczaje i organizacyę społeczną. Mówię o faktach, o smutnych następstwach tej organizacyi.

— Wszak zawarciu małżeństwa powinien zawsze przewodniczyć rozum, nie sama tylko miłość, która najczęściej jest ślepą.

— Któż temu przeczy? Ale każdą rzecz trzeba nazywać jej właściwem mianem: Prawem rzeczywiste prawo, niewolą niewolnictwo, handlem handel, miłością miłość prawdziwą, a rozumem rozum.

— Na sto kobiet jest przynajmniej dziewięćdziesiąt, a może dziewięćdziesiąt dziewięć, które wychodzą za mąż nie z miłości, lecz z interesu. Dobrze im z tem.

— Może być dlatego, że są zepsute. Czemuż nie mają sobie pozwolić, gdy mogą zarazem i wymaganiom

zbytku lub pychy i pragnieniom zmysłów dogodzić ?... gdy towarzystwo nietylko toleruje występki, lecz do nich zachęca!... Wszak to należy do dobrego tonu: mieć wielu wielbicieli. Kobieta wielkiego świata, będąc już zamężną, nie czuje nawet obelgi, nie czuje strasznego poniżenia, gdy jej kto oświadcza się z miłością. Nie rozumie tego, że ów jej wielbiciel, w chwili wynurzenia swej miłości, nie robi żadnej różnicy między nią a ostatnią ulicznicą. Zdaje jej się jeszcze, że on zasługuje na wdzięczność. Romanse i dramaty nauczyły pięknemi słówkami osłaniać najnikczemniejsze zamiary, najniższe uczucia. A źle zrozumiana wdzięczność lub litość do czegóż czasem prowadzi!... Od najpiękniejszej cnoty do zbrodni nieraz krok tylko!...

— Jednak w społeczeństwie tak urządzonem, kobiety wychodzące z rachuby za mąż, dobrowolnie sprzedające się lub mimowolnie sprzedane czują się szczęśliwemi.

— Szczęśliwemi?! Czy zliczyłeś ich łzy? Czy nie wiesz jakie piekło mieści się nieraz pod pozornem szczęściem? Ale kobieta jest pełna rezygnacyi. I z nieszczęściem można się oswoić. Kobieta nieszczęśliwa stara się ból zagłuszyć: szuka balów, rozrywek, wrzawy, albo... ulgi w cierpieniach!... „miłości"!... Owa rezygnacya kobiety, która się sprzedała za majątek, za tytuł, za świetne stanowisko męża, wreszcie dlatego tylko, żeby nie zostać starą panną (co także do najśmieszniejszych należy przesądów), owa rezygnacya najczęściej kończy się na występnej miłości!

— Trudno zaprzeczyć, że nawet po zawarciu ślubów nie z miłości lecz z rachuby, dla interesu lub pychy, są wszakże małżonkowie szczęśliwi?

— Tak, ale czy cnotliwi?

Zapał, z jakim rozmawiał filozof o swoim XX wicku, tak mnie przejął, że sam zdawałem się przeniesiony o jakie sto lat później. Mówił z przeświadczeniem, które mi się udzielało, osłabiając stopniami we mnie ochotę do prowadzenia sporu dla różnostronnego zbadania jego poglądów. Myśli rozliczne tłumem cisnęły się jedne po drugich. Społeczeństwo złożone z przy-

szłych pokoleń stanęło przed oczyma wyobraźni. Świat ziemski następnego stulecia zdawał się lepszym, cnotliwym, szczęśliwym, piękniejszym... W roztargnieniu, z pewną nieśmiałością spytałem:

— Więc to wszystko, co opowiadasz już się stało w XX wieku?

Filozof zarumienił się; nie wybuchnął jednak objawem rozdrażnienia, chociaż nie miał swojego „moderatora“ na głowie, i z przytłumionym gniewem odpowiedział:

— „Stało się“... Jeszcze się nie stało, ale tak będzie. Ja to widzę w przyszłości.

— Zatem to proroctwo?

— Wcale nie! — rzekł uniósłszy się nieco i lekko stuknął dłonią w stół przed nami stojący. — Jak w matematyce wyrachować można z pewnych zadań nieomylne wyniki, jak w prawidłowo ułożonym sylogizmie można z założenia dojść do racyonalnych wniosków; tak też w dziedzinie ducha, za pomocą myślenia, wychodząc z pewnych d a n y c h, z dziejowych faktów, z przebiegu ludzkości, z wieczystych praw rozwoju i postępu, można dojść do przewidywania nastąpić mających zdarzeń, do ujrzenia mniej więcej dokładnego obrazu przyszłości.

Po chwilowym namyśle ozwał się z wytężonym bystro przed siebie wzrokiem, który zdawał się raczej patrzeniem ducha, natężonej myśli wyrazem.

— Wreszcie z innego względu patrząc w przyszłość, można powiedzieć, że to się już stało; albowiem nic się nie dzieje w rzeczywistości, czego oddawna niema w idei. To łatwiej pojąć, niż wyrazić. A! bo też biedna mowa nasza! — dodał wzdychając.

— Przyznaj — zawołałem, — naszemu wiekowi przynajmniej, że od wielkiej rewolucyi francuskiej społeczeństwo na wielu drogach postąpiło z szybkością zdumiewającą.

— Potrzeba najprzód porozumieć się o z n a c z e n i e w y r a z ó w, gdyż z powodu niedokładnego ich określenia najczęściej toczą się spory, w których marnuje się czas na kłótnie, psuje się papier na polemikę, a co gorsze, rozjątrzają się namiętności, wzrasta wzajemna nienawiść i coraz gorzej zaciemniają się zdrowe

pojęcia o rzeczach, zwłaszcza gdy te przechodzą zakres fizycznego wzroku. Przyznaję — dodał z ironią — że społeczeństwo europejskie, łącznie z mieszkańcami Stanów Zjednoczonych, zrobiło olbrzymie postępy w zmięszaniu języków. Niczem tradycyjna wieża Babel! Filologowie trawią nieraz lata całe, życie całe nad sanskrytem lub zbadaniem znaczenia jakiegoś przyrostka albo zgłoski w językach starożytnych, a nie czuwają nad tem, aby oczyszczać, doskonalić język ojczysty i objaśniać prawdziwe znaczenie wyrazów, używanych w codziennej mowie. Przytem, trzeba także przyznać, że trudno zajść dalej w nadużyciu wolności słowa, w nadużyciu tak wielkiego daru, jakim jest mowa ludzka. Z jednej strony widzimy oburzającą przesadę w wyrażeniach, z drugiej: sofistyczną dyalektykę, posuniętą do ostatecznych krańców. To wszystko zaciemnia myśl, wykrzywia rozumowanie i przeszkadza do porozumienia się wzajemnego. Ponieważ wspomniałeś o społeczeństwie, trzeba najpierw wskazać granice tego wyrazu. Inaczej ciągle prowadzić można rozpowszechnioną w XIX wieku, „niemiecką kłótnię“, une querelle d'Allemands. Spór o słowa!...

— Mówmy — przerwałem filozofowi, który ze słabością właściwą wielu ludziom, nie spostrzegał się, że czasem wpadał w gadulstwo — mówmy o społeczeństwie, nazywanem powszechnie oświeconem.

— Na początku rozmowy naszej powiedziałem, jak pojmuję znaczenie wyrazu: oświata. Nie można nazywać człowieka oświeconym, dlatego że umie czytać, pisać i zna cztery działania arytmetyczne. Nie można też nazwać go oświeconym za to, że się czesze, myje, umie jako tako ukłonić się i nosi suknie według powszechnie przyjętego kroju, albo ostatniej paryskiej mody. To jeszcze nie jest cywilizacya. Niejeden uczony połknął mnóstwo książek, a oświeconym przez to nie jest. Oświatą nazywa się dokładne pojęcie praw, godności i posłannictwa człowieka. Jeżeli zaś oświeconem społeczeństwem nazwiemy ludność Europy i niektórych amerykańskich narodowych mocarstw, popełnimy podwójny błąd. Ogólna ludność kuli ziemskiej dochodzi obecnie do 1400 milionów; według niektórych statystyków do 1500 mi-

lionów. Ludność Europy wynosi przeszło 300 milionów; ludność Ameryki 100 milionów. Przypuśćmy, że wielu Europejczyków i Amerykanów, przypuśćmy nawet, że 400 milionów ludzi można nazwać, bez różnicy, oświeconymi czy cywilizowanymi, to jeszcze zostanie cały miliard ludności, której miano oświeconej się nie należy. Ale czy Buddyści, których liczba wynosi trzecią część mieszkańców kuli ziemskiej, czy Chińczycy ze swoją półmiliardową ludnością i Japończycy nie zechcą ubiegać się z Europą i Ameryką o pierwszeństwo w oświacie?

— Do czegóż to prowadzi? — spytałem trochę zniecierpliwiony.

— Do tego, ażeby okazać, że pozytywiści, którzy najwyżej stawiają cechę oświaty, zwaną przez nich utylitarną, powinniby przekonać się, iż są inne czynniki, rządzące ludzkością; — do tego, ażeby okazać, że pozytywiści w swojem rozumowaniu powinniby zwracać uwagę na to, co jest najpozytywniejszem, to jest na liczby, a pamiętać, iż społeczeństwo nie składa się tylko z trzechset milionów Europejczyków, czy też czterechset milionów Europejczyków razem z Amerykanami, lecz z ludności prawie czterykrazy większej, zapełniającej kulę ziemską; — do tego nareszcie, ażeby okazać, że poza obrębem Europy i Ameryki są ludzie uorganizowani według innych pojęć, według ustaw politycznych, wypływających z tychże pojęć, a uważający siebie także za oświeconych. Jest to zaś jeszcze pytanie nierozstrzygnięte: którzy z nich są szczęśliwsi i uczciwsi? Co do mnie, jestem głęboko przekonany, że z pewnością nie Europejczycy. Potrzeba zatem zgodzić się wprzód na to: która oświata jest lepszą, a więc utylitarna, pożyteczna, praktyczna, czy ta, która prowadzi człowieka do cnoty i szczęścia, a przynajmniej do sumiennego spokoju? czy inna?

Te słowa wypowiedział szybko, z pewną żywością i tak dalej mówił:

— Niech te kwestye rozstrzyga każdy, jak zechce. Ja to tylko wiem, że w Europie, zwanej postępową i sumienną, dzieją się rzeczy, którychby się wstydził najdzikszy barbarzyniec. Ja wiem, że wszystko idzie ku gorszemu: cnoty coraz mniej i szczęścia coraz mniej!

— A wolność? — spytałem. — Emancypacya człowieka z pod przemocy, poddanie go prawom czyliż nie jest szczęściem?

— Powiedziałem pierwej, jaką jest owa wolność w Europie i jakiemi są te mniemane prawa. Przemoc zmieniła kształty i nazwy, a bezprawie nazwano prawami. Oto są fakta: Długi coraz większe, podatki coraz cięższe, zbrojność coraz silniejsza; z każdym rokiem wzrasta proletaryat, wzrasta nędza, wzrastają do potwornych rozmiarów. W Europie było w roku 1872 dziewięćdziesiąt jeden miliardów franków długu. We dwa lata dług ten zwiększył się o dwa miliardy. W 1875 roku doszedł do stu i pół miliardów; zatem we trzy lata o dziewięć i pół miliarda wzrósł, chociaż w owym czasie nie było wojny. Nareszcie doszło do tego, iż w 1878 roku wszystkie długi rozdzieliwszy pomiędzy jej mieszkańców, przypadło w przecięciu czterysta franków na głowę. Dziecię nowonarodzone przychodzi na świat i już taka suma długu cięży na niem, w proporcyi minimum. O tych wszystkich faktach trzeba ciągle przypominać.

— Są długi przynoszące dochód.

— Produkcyjnych długów jest tylko czwarta część. Wszystkie inne są nieprodukcyjne. Któż od nich płaci procent? Lud w kształcie podatków. Oto masz finansowy rozum europejski, p o z y t y w n y system u t y l i t a r n e j p o l i t y k i!

— „Rien n'est brutal comme un chiffre.“ To prawda!

— Z dochodów całej Europy na długi, wojsko i dwory przeznacza się siedmdziesiąt siedm procent; na wszystkie inne potrzeby: na administracyę, szkoły, przemysł, rolnictwo i tak dalej tylko dwadzieścia trzy procent. Oto jest europejskie gospodarstwo!

— Göthe powiedział: „Zahlen beweisen wie man die Welt regiert“.

— W dziewiętnastym wieku po rok 1878 zginęło na polach bitwy d z i e w i ę ć m i l i o n ó w l u d z i, oczywiście w kwiecie wieku. To wynosi w przecięciu więcej niż po sto dziesięć tysięcy pomordowanych każdorocznie. Czy dzicy ludożercy pochłaniali kiedykolwiek tyle człowieczego mięsa?

— Przerażające liczby!

— Nie dość na tem. Dowiedzioną jest rzeczą, że podczas wojny i po skończonej wojnie, umiera z ran lub z trudów, prawie cztery razy więcej, niż poległych w boju. To wynosi w przecięciu, na wiek dziewiętnasty, każdego roku do pół miliona ofiar, poświęconych Marsowi. I prawicie mi o oświacie, o postępie!

— Okropność! Znam te liczby. Wszystko to jest niezaprzeczoną prawdą.

— A matki, wdowy, siostry, żony, córki tych nieszczęśliwych!... Ileż ich skona z bólu lub z nędzy!... Któż zliczy? Słyszymy niemal ciągle o pokojowych zamiarach gabinetów; a jednak od kongresu wiedeńskiego, to jest od 1815 do 1878 roku, czyli w ciągu sześćdziesięciu trzech lat, europejskie armie prowadziły w Europie i innych częściach ziemi nie mniej, jak sto ośmnaście wojen. W wojnie krymskiej, której następstwa wprędce zniszczone zostały, poległo z obu stron na polach bitwy pięćset jedenaście tysięcy ludzi w ciągu dwóch do trzech lat; w wojnie tureckiej 1877 więcej, niż pół miliona w pół roku. W czasie tak zwanym pokojowym Europa utrzymuje ciągle około trzech milionów wojska, które pochłania przeszło trzy miliardy franków rocznie; a na stopie wojennej postawić może więcej, niż ośm milionów żołnierzy*). Wypada jeden żołnierz na siedmiu dorosłych ludzi.

— Niemniej są straszne cyfry statystyczne w innych gałęziach.

— Liczba ubogich w Europie, którzy ani żyć nie mają z czego, ani pracować nie mogą, wynosi dwanaście milionów. Muszą więc żebrać, oszukiwać, albo kraść. Wzrastająca liczba samobójstw w dziewiętnastym wieku doszła do tak kolosalnych rozmiarów, że przyszłe pokolenia nie wierzyłyby temu, gdyby nie było urzędowych sprawozdań. W niektórych miastach dziesięć razy jest większą, niż przed stu laty, w innych sto razy większą! Ilość obłąkanych, zamkniętych w szpitalach, wzrasta z każdym rokiem. Wypada jeden chory tego rodzaju, urzędownie za obłąkanego uznany, na dziewięćset osób. Zabójstw liczą w Europie przeszło

*) Pisane w roku 1884.

dziesięć tysięcy rocznie. Dzieciobójstw jawnych, na sto ciężkich zbrodni dziesięć. Z corocznych statystycznych sprawozdań widać, iż ilość zbrodni zwiększa się w przerażającej proporcyi. Kto zaś chce zobaczyć obrzydliwy a smutny zarazem upadek wstydu i moralności, niech czyta dzieła specyalne tym przedmiotem trudniących się uczonych, jak Dr Loeve, Behrend, Buddens, Richelet, Parent-Duchatelet, Leon Fauchet, Dr Oetingen, Ave-Lollemont, Hügel. Włosy powstają na widok olbrzymich liczb, rosnących z każdym rokiem, przedstawiających ofiary rozpusty, a najczęściej nędzy. Cóż mówić o chorobach z tego powodu?!... W Anglii, półtora miliona chorych corocznie!

— Nikt temu zaprzeczyć nie może. Dowodzą liczby, iż upadek Europy okropny.

— Więc pytam: za jaką to ideę i w jakim celu doprowadzono Europę do takiego stanu? Co to jest oświata i jakie jej zadanie? Co się nazywa cywilizacyą? W jaką jeszcze otchłań „cywilizatorowie“ dziewiętnastego wieku wtrącić chcą społeczność?

Obraz społeczeństwa dziewiętnastego wieku, jakkolwiek lekko tylko w liczbach zarysowany, a niestety, prawdziwy, usprawiedliwiał wiele zdań filozofa dwudziestego stulecia, wydających się paradoksami na pozór. Czułem się przekonany i okazałem to. Po przedstawieniu tego obrazu, stanął na środku pokoju i ozwał się uroczystym głosem:

— Słuchaj! Przyznaję, iż wiek dziewiętnasty zdumiewający uczynił postęp w wynalazkach, w urządzeniu maszyn, w udoskonaleniu materyi. Ale to właśnie oderwało całą myśl jego i działalność od ducha. Przygotował on mnóstwo materyałów, z których dopiero w dwudziestym wieku zrobią użytek. Wszystkie nędze dziewiętnastego stulecia pochodzą stąd, iż nie uznano ducha i nie poznano olbrzymiej jego potęgi. Każda nauka religijna, każda etyka, każde niemal prawodawstwo, czy też starożytnych Indyan, czy Egipcyan, czy Hebreów, czy też dzisiejszych chrześcijan, mają, jak wiadomo wszystkim uczonym, cel moralny. Chrześcijaństwo wypłynęło ze Starego Zakonu, którego „dopełnieniem“ jest Nowy Testament. Całe jednak społeczeństwo europejskie i w ogólności chrześcijańskie

oparło się pozornie tylko na prawodawstwie Mojżeszą, zatwierdzonem i objaśnionem przez Chrystusa, tudzież przez Jego apostołów. Jakiegokolwiek kto jest wyznania, nawet człowiek nie wierzący ani w Boga, ani w istność duszy, ani w życie przyszłe, musi przyznać, iż dekalog powinien być podstawą praw, a nauka Jezusa jest najdoskonalszem prawodawstwem, najpraktyczniejszym kodeksem. Kto inaczej sądzi, nie zna Pisma świętego, albo jest chorym, nie umie myśleć. Największym zaś błędem przewodników społeczeństwa jest to, iż nie zrozumieli ducha tych praw, nie zastosowali kardynalnych zasad w najrozleglejszem znaczeniu do wszystkich bez wyjątku ustaw i społecznych stosunków. Błąd ten sięga początkiem swoim czasów przedchrześcijańskich i pierwszych wieków chrześcijaństwa; istnieje dotąd, a owoce jego zbiera ludzkość. Ale nadeszła pora zniszczenia tego błędu, sprostowania mylnych pojęć i zasiania ziarn zdrowych prawdy. Nie w martwym wyrazie prawa sprawiedliwość; lecz w jego duchu!

Filozof otworzył rękopis i czytał.

Oto są P r z y k a z a n i a B o ż e:

I. N i e b ę d z i e s z m i a ł b o g ó w c u d z y c h p r z e d e m n ą. Cóż to znaczy? Nie to, co mniemali Hebrajczycy, a później chrześcijanie, zacząwszy od ikonoklastów aż do Lutra, Kalwina i Zwingliusza, iż nie wolno czcić Boga pod jakąkolwiek materyalną postacią. W oczach człowieka wznoszącego myśl i uczucie do Bóstwa, kamień czy metal, posąg, obraz czy krzyż, jest dla jego zmysłów symbolem, materyalnem uosobieniem Boga. On wie, choć może sobie z tego sprawy zdać nie umie, że w tym kamieniu, w tem drzewie lub płótnie niema Boga. Tylko jego zmysły potrzebują widzieć coś, dotknąć się czegoś, coby mu niewidzialne, niepojęte Bóstwo przypominało. To jest przyrodzone pragnienie fizycznej natury człowieka. Ale jego myśl wznosi się wyżej; jego duch wzlatuje do Ducha. Nie jest więc bałwochwalcą ten, co czci zewnętrznymi objawami Boga, w tej lub owej zewnętrznej przedstawionego formie, gdy razem i jednocześnie czci wewnętrznemi władzami ducha swego najwyższą Istotę.

Ale bałwochwalcą jest, kto zewnętrznie tylko czci Boga, kto w materyalnej wyłącznie formie sobie Boga wyobraża; a jeszcze większym, kto na tej czci poprzestaje. Największym zaś bałwochwalcą jest kto mniema, iż oprócz jałowej czci Boga nic więcej nie pozostaje mu do czynienia. Nie dość bowiem czcić Bóstwo zewnętrznymi objawami; nie dość nawet czcić Boga obrzędami i podniesieniem ducha zarazem; lecz trzeba czcić Go życia całego c z y n a m i. „Czcij Boga nad wszystko; a kochaj bliźniego swego, jako siebie samego. Wiara bez uczynków martwą jest.“ Oto jest treść wszystkich powinności człowieka względem nieba i względem ziemi. Cześć Bogu powinniśmy wyrażać nietylko materyalnem słowem, nietylko duchowem podniesieniem myśli, lecz miłością bliźniego, zatem miłością tych, których nasz bliźni kocha, miłością jego rodziny, bez wyjątku: zaczynając od najbliższego bliźniego aż do najdalszego. A nie masz bliższego bliźniego, jak członek rodziny, do której należymy; i nie masz bliższej rodziny, jak ta, z którą krwią i duchem jesteśmy połączeni. Więc pierwszymi stopniami miłości naturalnej, przez które przechodzić musimy, jest miłość najbliższej rodziny (dziecka, ojca, matki, brata, siostry), a następnie najbliższej wielkiej rodziny: O j c z y z n y. To są pierwsze ogniwa tego łańcucha miłości, którem otaczać powinniśmy ludzkość całą. Miłość najbliższych bliźnich, to jest rodziny i Ojczyzny, tudzież, w dalszym jej rozwoju, miłość najdalszych bliźnich czyli ludzkości, powinniśmy objawiać nietylko słowem lub uczuciem, lecz czynami. Tym sposobem dopiero wypełniamy pierwsze przykazanie, zostawione nam w Starym Testamencie, a objaśnione przez Jezusa Chrystusa. „Nie ten, który woła wciąż: Panie! Panie! wnijdzie do Królestwa Bożego; ale ten, który czyni wolę Ojca mojego w niebiesiech.“ Jeżeli Mojżesz obalił złotego cielca i zgromił Hebreów za cześć mu oddawaną, to nie dlatego tylko, iż czcili Boga wyłącznie z zewnętrznej postaci, lecz za to, że ukochali złoto więcej niż Jehowę, za to, że złoto stało się dla nich „cudzym bogiem“. W karze, wymierzonej na Hebreach, jest alegoryczna przestroga po wszystkie czasy. Człowiek chciwy, miłujący bogactwo i wypływające z niego rozkosze, więcej niż Boga, to jest więcej niż powinności,

dowodzące czci ku najwyższej Istocie, równym jest bałwochwalcą, jak Hebrajczyk, kłaniający się złotemu cielcowi. Dla tego człowieka bowiem bogactwo i rozkosze są „cudzymi bogami“. Ponieważ zaś Hebreowie nietylko czcili złoto czyli bogactwo, lecz bydlęcą siłę, której uosobieniem jest cielec, zatem dlatego jeszcze ukarani zostali przez prawodawcę, jako czciciele materyalnej siły. Przeto człowiek, szanujący siłę bydlęcą i wynikające z niej następstwa, więcej niż Boga i więcej niż godne wielkości najwyższej Istoty urządzenia, równym jest bałwochwalcą, jak Hebrajczyk, kłaniający się cielcowi. Dla tego człowieka bowiem siła materyalna i jej owoce są „cudzymi bogami“. Kto więc nie uznaje jednego Boga myślą i czynem, a więc, kto nie wypełnia całego szeregu powinności, wyrażających cześć Boga, nie wykonywa pierwszego przykazania.

II. Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno. Mniemają, iż krzywoprzysięstwo, to jest wykonanie materyalne przysięgi fałszywej jest głównem, a według niektórych jedynem naruszeniem tego przykazania. W tem błąd! Krzywoprzysięstwo jest wprawdzie zbrodnią; bo sprzeciwia się drugiemu przykazaniu; ale jest wiele innych zbrodni, naruszających drugie, a tem samem pierwsze przykazanie. Największa siła drugiego przykazania leży na wyrazie „nadaremno“. Kto lekkomyślnie wymawia imię Boga, — kto wzywa Boga, aby się nagiął ku jego czynnościom, sprzeciwiającym się najwyższemu prawu i sprawiedliwości, — kto żąda dla osobistych widoków, aby Bóg wykonywał rzeczy nadzwyczajne, czyli przeciwne wieczystym prawom, a więc woli Bożej, — kto w imię Boga przedsiębierze lub popełnia czynności przeciwne Bogu, jego prawom i sprawiedliwości, — kto pod pokrywką czci dla Boga przeprowadza zamiary ziemskie n. p. polityczne. — kto działa w imię materyi i siły, jakgdyby działał w imię Boga, — kto na cześć materyi i siły przysięga lub innym przysięgać każe, każdy z tych bluźniercą jest; wzywa imienia Pana Boga nadaremno.

III. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił. Święcenie dnia świętego nie ogranicza się wy-

łącznie materyalnem okazaniem czci dla Boga, to jest modlitwą, lecz wymaga duchowego podniesienia się ku Bogu i dowodzenia tej czci czynami. Przez wzgląd na słabość natury ludzkiej, to przykazanie żąda, aby przynajmniej w dzień święty, ustanowiony przez Zakon, człowiek wstrzymał się od wszystkiego, coby go na drogę naruszenia przykazań Bożych naprowadzić mogło; a użył go na rozważanie czynności swoich, na opamiętanie się i na wzmocnienie siebie nadal do walki z pokusą i namiętnościami. Wobec Boga bowiem każdy dzień powinien być świętym dla człowieka, to jest dniem bez grzechu. Święcenie dnia świętego nie zależy jedynie od zaniechania wszelkiej pracy; lecz wymaga, aby człowiek, przynajmniej w dzień święty pracując, miał na celu nie materyalną korzyść, tylko duchowy czyli moralny pożytek dla siebie i bliźnich. Kto nie doskonali się z dniem każdym i duchowego pożytku nie szuka przedewszystkiem, narusza trzecie przykazanie.

IV. Czcij ojca twego i matkę twoją. To prawo nakazuje nietylko zewnętrzną cześć rodziców; nietylko odnosi się do powierzchownego uszanowania dla osoby ojca i osoby matki; lecz nadto: nakazuje uznanie powagi rodziców i umiłowanie wszystkiego, co w przyrodzonych, wieczystych węzłach, drogiem jest lub być powinno dla ojca i matki. A jakoż może czcić rodziców, kto odrywa się od nich, kto targa łączące się z nimi przyrodzone węzły, nietylko krwią, lecz duchem utworzone? A jakoż może szanować rodziców, kto nie szanuje ich ojców i ich matek, kto nie szanuje tego, co oni uszanowali i ukochali: ich pracy, ich własności, ich tradycyjnych wierzeń, które oni sami od swoich rodziców otrzymali, przechodzących z rodu na ród, z pokolenia na pokolenie, a mających na celu pełnienie powinności i utrzymanie całości rodziny? Wszystko się wiąże jedno z drugiem w ustroju społecznym; dzieci z rodzicami; rodzice z rodziną; rodziny z ojczyzną; ojczyzny z ludzkością. Kto nie czci ojca, a zarówno fizycznej i duchowej spuścizny ojców; kto nie czci matki, a zarówno fizycznej i duchowej spuścizny macierzystej, kto więc nie czci całego rodu swego od wieków, to jest narodu, i jego ziemi z prawami jej, to jest ojczyzny, ten nie czci

ani ojca, ani matki i jest przestępcą wobec czwartego przykazania.

V. Nie zabijaj. Jednem słowem! Nie zabijaj nikogo, niczem w każdym razie! To przykazanie miało i ma na względzie społeczeństwo, urządzone według praw przyrodzonych czyli Bożych, a więc społeczeństwo, złożone z ludzi utworzonych, cieleśnie, również jak duchowo, według praw wieczystych i przyrodzone prawa uznających. Jeżeli Mojżesz zabijał lub zabijać kazał, czynił to jako przedstawiciel i wykonawca najwyższego prawa, aby grubym pojęciom, przed ich zmysłami, okazać dowód: że istoty nie szanujące praw Bożych mają tylko postać człowieka. Jako czciciele siły czyli bałwochwalcy, do bydląt podobni, jako najezdnicy, gwałcący prawa ludzkości, na wzór drapieżnych zwierząt, zasługują na karę. Tak rozumieć potrzeba srogość Mojżesza i obronne wojny Hebrajczyków z nieprzyjaciółmi. Poza obrębem najwyższego rzeczywistego prawa zabójstwem nazywa się nietylko pozbawienie życia jednego człowieka, lecz wskazanie lub wysłanie na śmierć wielu ludzi. Zabójstwo dopełnione być może nietylko mordeczem narzędziem, lecz słowem, piórem, albo czynem. Niekiedy słowo, albo potwarz, albo niesprawiedliwość zarówno zabija, jak sztylet lub kula. Kto czemkolwiek zabija człowieka lub jego życie, zabójcą jest.

VI. Nie cudzołóż. To przykazanie jest tak jasnem samo w sobie, iż pod względem fizycznego zachowania go nie potrzebuje objaśnienia. Na niem, jako na węgielnym kamieniu, zasadza się czystość rodziny. Dlatego zaliczonem jest do dziesięciorga przykazań. Dlatego też przekroczenie tego prawa jest równą zbrodnią, jak przekroczenie każdego innego przykazania. Między bałwochwalcą a bluźniercą, między występnym synem a zabójcą niema żadnej różnicy, podobnież jak niema najmniejszej różnicy między którymkolwiek pospolitym zbrodniarzem a wykwintną cudzołożnicą.

VII. Nie kradnij. Gdyby pojmować to przykazanie tylko materyalnie, a stosować je na fizyczne wyłącznie rozmiary, wówczas mały złodziej, który głodem zmuszony kradnie kawałek chleba lub pieniądz, na równą zasługiwałby karę, jak ten, którego chciwość, rozpusta, albo pycha prowadzi do kradzieży. Po-

dobnież złoczyńca ukraść może: nietylko rzecz materyalną, lecz moralną, nie podpadającą zmysłom, rzecz duchową, nie dającą się ująć w ręce. Chleb czy pieniądz, wielki skarb czy kraj cały, zarówno, jak pomysł ludzki, słowo cudze, wolność, praca, zasługa, mogą być przedmiotem kradzieży. Kto narusza którąkolwiek z tych własności jest złodziejem na równi z innymi; wykracza przeciw siódmemu przykazaniu.

VIII. Nie dawaj fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu. W wyrazie „fałszywe świadectwo“ zawiera się wszystko, cokolwiek bliźniemu szkodzić może słowem lub pismem, przez kłamliwe świadczenie o nim, chociażby nawet nie było zabójczem. Nie pojmuje tego przykazania, kto mniema, iż ono odnosi się tylko do świadczenia w sprawach urzędowych. Wszelkie kłamstwo jest rzeczą szpetną; a kłamstwo przynoszące krzywdę bliźniemu jest występkiem. Więc kłamliwe wnioski i przypuszczenia rozsiewane o bliźnich czyli plotki, potwarz, oszczerstwo, targnięcie się na czyją sławę, intrygi wszelakie, składają szereg zbrodni wbrew ósmemu przykazaniu.

IX. Nie pożądaj żony bliźniego twego. Nie pożądaj! Nietylko cudzołóstwo jest zbrodnią, lecz równą zbrodnią samo pożądanie żony bliźniego, uczucie, nawet myśl! Jest to objaśnienie szóstego przykazania, iż powinno być zachowywane również w znaczeniu duchowem. Jezus Chrystus uczył, iż pragnienie występne trzeba trzymać na wodzy. „Kto pożądliwy wzrok rzuca na żonę bliźniego, już ją cudzołoży.“ Niewiasta, dobrowolnie wyzywająca zalotnością wzrok pożądliwy, cudzołożnicą jest.

X. Ani domu, ani roli, ani sługi, ani służebnicy, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest. Jeżeli zbrodnią, samo pożądanie którejkolwiek rzeczy, będącej własnością bliźniego, jakże wielką zbrodnią jest przemocne przywłaszczanie sobie jej sobie! Tu jest wysoka mądrość prawodawstwa. Do przykazań nie zalicza się wyraźnie zakaz choćby jawnego, lecz przemocnego chwytania cudzej własności; ale nawet myśl sama popełnienia takiej zbrodni zabronioną jest dziesiątem przykazaniem. Grabież, porwanie cudzej własności jest pogwałceniem wszystkich praw przyrodzonych, zdeptaniem wszyst-

kich przykazań Bożych. Jeżeli przeto wielką zbrodnią jest przywłaszczanie domu, roli, wołu, osła lub jakiejkolwiek rzeczy, należącej do bliźniego, jakże straszliwą zbrodnią jest zagarnięcie wszystkich domów, całej ziemi i wszystkich rzeczy fizycznych i duchowych, składających materyalną i moralną własność narodu! Myśl przemocy zabronioną jest przez prawo; a dokonanie przemocy jest zbrodnią nad wszystkie zbrodnie, albowiem każdą z nich w sobie zawiera. Zamiar popełnienia zbrodni równa się jej wykonaniu.

Takiem, a nie innem jest znaczenie dekalogu w pojmowaniu dosłownem czyli materyalnem i wewnętrznem czyli duchowem. To dwoiste pojmowanie dziesięciorga Bożych przykazań nadaje im dopiero rzeczywistą siłą. Na takiem też pojmowaniu opierać się powinno każde prawodawstwo świeckie.

Jezus Chrystus, jako nowy prawodawca, na dziesięciu tych przykazaniach zbudował Nowy Zakon. Spytany: które z tych przykazań jest najważniejszem? odpowiedział: Nie masz przykazania mniejszego lub większego. Wszystkie są sobie równe i jednako ważne. Stąd oczywiście wynika, iż niema różnicy między zbrodniami, którekolwiek z dziesięciorga przykazań naruszającemi. Innemu, który pytał: Co mam czynić, abym był zbawiony? odpowiedział Jezus: „Chowaj przykazania!“

Po przeczytaniu objaśnień dekalogu rzekł filozof:

— Od najdawniejszych czasów ludzie po większej części wierzyli w duszę, w istnienie człowieka z duszą w tutejszym i w nieznanym, zaziemskim, wiecznym bycie.

A nikt nie myślał nigdy o znalezieniu dla duszy warunków do prawidłowego i prawowitego istnienia na ziemi. Jeżeli asceci lub duchowi przywódcy społeczeństwa zajmowali się duszą, to tak, jakgdyby ta była zupełnie oddzielona od ciała, jakgdyby człowiek nie był na ziemi, lecz w jakiejś nadsłonecznej krainie. Chcieli uprzedzić przyszłość, przeskoczyć naturalną przepaść i niby przemocą sprowadzić niebo na ziemię;

a ludzi zrobić odrazu doskonałymi, świętymi, nie dawszy im spełnić posłannictwa w doczesnem życiu. Mówiono o potrzebach duszy; troskano się o nie wyłącznie, zapominając, że natura także ciału rozmaite dała potrzeby.

Pomimo to, pomimo wiarę w istność duszy, albo wyłączne zajmowanie się potrzebami duszy, przez dziwną sprzeczność, ludzie widzieli tylko to, co pod ich zmysły podpada i szukali tylko tego, co mogli zobaczyć, usłyszeć, czego mogli dotknąć się własnemi rękami. Według ich pojęć, Bóg dla nich musiał się objawiać w słońcu, w błyskawicy, w grzmotach, w piorunach, cudach, w palących się obrazach, w niezliczonych postaciach, jakie ich wyobraźnia tworzyła; a nie widzieli Boga i cudów we wszechświecie.. Podobnież dusza była dla nich zrozumiała, jeśli ją widzieli, niby odosobnioną od ciała, niepochwytną, ale w jakiejś zewnętrznej, niemal fizycznej postaci: choćby tylko w kształcie płomyka, pary, cienia lub czegoś podobnego. Skutkiem tej sprzeczności, skutkiem nawykłości do uzmysławiania duszy, stracono zdolność widzenia ducha wzrokiem, że tak rzekę duchowym, umysłowym. Nie widziano ducha ani w natury ustroju, ani w prawodawstwie. W dziesięciorgu przykazaniach Bożych, zarówno jak w nauce, w rozkazach i przepisach Założyciela chrześcijaństwa, przyzwyczajono się tylko wykonywać mniej więcej literę praw, a nie zgłębiano wewnętrznego ich znaczenia. Doszło nareszcie do tego, iż w zastosowaniu tych praw, poprzestano tylko na materyalnem, formalnem, a więc nominalnem wykonaniu. W każdym stosunku społecznym na miejscu ducha zjawiła się materya, zamiast treści forma, zamiast rzeczywistości jej imię tylko. W dziewiętnastym wieku, i ci, którzy uznają wyłącznie istność materyi, i ci, którzy się głoszą za ich przeciwników, nie spostrzegają się, że wszyscy idą po jednej drodze i jednych używają środków; nie spostrzegają, że wszyscy są materyalistami, że opierają działalność na formie zmysłowej, nie na treści, na pozorach, nie na rzeczywistości.

Filozof rozprawiał z wielką powagą i spokojem. Znać było na nim, iż głęboko był przejęty wzniosłem religijnem uczuciem. Stopniowo zaczął mówić z coraz większym zapałem.

— Nikt dotąd nie pomyślał o znalezieniu równowagi w dwoistem istnieniu człowieka, a zatem o zastosowaniu do społeczeństwa dwoistego znaczenia praw. W każdem urządzeniu, w każdej ustawie, w każdej czynności, wszędzie tylko ciało, zmysłowe obrządki, pozory, komedya!... Świat dziewiętnastego wieku jest wielkim teatrem, a ludzie komedyantami!... Oszukują jedni drugich i nazwajem się łudzą!... Zaprawdę! Widowisko godne oświaty i postępu!...

Zaśmiał się szyderczo, potarł czoło i rzekł dalej:

— A kto chce być spektatorem i nie daje poklasku, okrzyczanym jest za szaleńca. I jam szaleniec! — zawołał z okropnym wzrokiem. — Ale wygwizdam ich wszystkich.

Zatrzymał się na chwilę; nareszcie ozwał się z wielkim ogniem. Głos jego podobny był do grzmotu.

— Jedni strąciii z tronu Boga dla własnej wygody. „Niema Boga“ krzyknęli. „A więc niema praw Bożych. Prawo, to ja!“ Ten i ów wrzasnął: „Kłamiesz, bluźnierco! Bóg, to ja!“ nie jestże to komedyą?... Ale ta komedya doprowadziła ludzkość dziewiętnastego wieku do piątego aktu tragedyi. Komedya piekielna!... Bogobójcza walka!... Trzej zapaśnicy stanęli do boju... i ludzkość na trzy kawały mięsa rozszarpali... Każdy z nich przezwał siebie bogiem i nieomylnym... a wszyscy prawdziwego Boga zabić p o ż ą d a l i ; bo myśleli, ogłupiali pychą, że nawet Boga zabiją!... Z zakrwawionych, drgających przedśmiertną konwulsyą członków ludzkiego cielska wygnali ducha... i Bóg od nich uciekł!... „Ja zbawię ludzkość!“ ozwał się jeden. „Ja!“ ozwał się drugi. „Ja!“ ozwał się trzeci. Z konającej piersi wypadły trzy głosy. “Uznaję ciebie Bogiem, o ty najpotężniejszy, któryś dawnemu Bogu berło wydarł; i tobie, jedyny władco, daję miano najwyższego R o z u m u“. — „Uznaję ciebie Bogiem S i ł o! o ty jedyny władco, który dajesz prawa społeczeństwu!“ — „Uznaję ciebie Bogiem, o ty najśmielszy, któryś sobie władzę boską przywłaszczył i daję ci miano najwyższej P o w a g i“. — Trzy kawały ludzkiego mięsa rozpadły się... i nic ich nie łączy... bo duch uleciał. Z tych rozpłatanych części każda inne otrzymała prawa. Do jednej ozwał się władca przezwany R o z u m e m : „Wierz tylko we mnie: a rób, co chcesz. Uwalniam cię od

wszelkiej czci. Ja jestem wolność i tobie daję wolność. To moje prawo! innego niema". — Do drugiej ozwał się drugi władca: „Wierz tylko we mnie, a rób, co ja każę. Ja jestem siła. Żądam posłuszeństwa. To moje prawo! innych nie uznaję". — Do trzeciej zawołał władca trzeci: „Ja jestem rozum, siła i powaga. Buntownicy i potępieni ci, którzy mnie nie słuchają. Wierz we mnie jednego. Ufaj mi. Nie rób nic. Ja za ciebie wszystko zrobię. To moje prawo! Biada temu, kto go nie uznaje". — Powstały dwa rodzaje czci religijnej: dynamolatria i antropolatria, cześć siły i cześć człowieka!

— Czyż nigdzie niema czci Boga prawdziwego?

— Gdzież znaleźć cześć prawdziwego Boga? w jakiem prawie? w jakiej ustawie społecznej? w jakich czynach ludzkości? Bałwochwalstwo w każdem słowie, w każdym czynie!... Najwyższem bóstwem człowieczeństwa — złoty cielec. Przed nim kornie chylą czoła i wyznawcy najpotężniejszej władzy, przezwanej Rozumem i wyznawcy dynamolatrii i wyznawcy antropolatrii. Wzbierają fale nienawiści... święcą miecze na rzeź... przysięgają na wierność Sile w imię wygnanego Boga... i śpiewają „Te Deum laudamus", ciesząc się wielką ilością pomordowanych, spustoszeniem roli, zburzeniem miast, nędzą, głodem, łzami wdów i sierot!... Każdy dzień jest orgią szatanów i arlekinów w świąteczne szaty przybranych... stypą hasających na grobach!... Ojców i matek prochy zbeszczeszczone!... Morderstwa milionów... Splugawione małżeńskie łoża... Kradzież bez granic... Przedajne słowa i pióra... zabójcze, jak sztylety... Lubieżne chuci w każdym wzroku, w każdem tchnieniu... Grabież... przemoc!... oto wykonywanie najwyższego prawa... pełnienie przykazań Bożych... droga do zbawienia!?... Ziemia zamieniona w piekło. Cnota, spokój, szczęście należą do mytów, do jakichś przedhistorycznych podań!... Zburzono wszystko, zniszczono nawet wiarę w życie przyszłe!... Pokrzywdzonym, poranionym, okradzonym, odartym, zgłodniałym, konającym odebrano ostatnią ulgę, ostatnią pociechę: nadzieję!... I nieszczęśliwy, który wierzył całą siłą w sprawiedliwość, w zasługę cnoty, w karę za zbrodnie, który żył według przykazań Bożych; patrząc w tę otchłań, nie znajdując nigdzie sprawiedliwo-

ści, nie spodziewając się nawet znaleźć jej po śmierci, woła z bluźnierczą rozpaczą: „Chyba to prawda, że niema Boga?!“

Ciężki sen, w który pogrążyło mnie opium, obezwładnił na długo moje władze umysłowe. Czułem, że żyję; lecz życie podobnem było do letargu. Zdawało mi się, że nie śpię, a przebudzić się nie mogłem. Straszliwe obrazy przesuwały mi się przed wyobraźnią. Słyszałem krzyki niemowląt nowonarodzonych i jęki konających starców. Ponad wszystkie głosy wznosił się świst pędzącej lokomotywy, przygłuszony niekiedy szczękiem oręża i brzękiem złota. Z pod ziemi dolatywały jakieś przekleństwa. Niezmierzone bagnisko obracało się w koło. Na niem migały błędne ogniki. W górze błyszczało światło, przyćmione wyziewami pary. Wśród kłębów dymu na słońcu zamglonem utkwiony był krzyż. Nagle... przybity doń człowiek ozwał się wielkim głosem: „Odpuść im Panie! Nie wiedzą, co czynią“. Prawą rękę od ramienia krzyża swego oderwał wraz z gwoździem; przeżegnał ziemię i zawołał: „Przebaczenie!“ Na ziemi zjawił się drugi krzyż. Na nim przybity był konający człowiek, a nad jego głową napis: W i e k X I X. Z tej liczby znikła pośrodku jedność i uleciała w niedościgniony okiem przestwór. Zostały dwa krzyże: X X. Na nich były ślady krwi. Mgły pierzchły. U stóp krzyżów klęczała ludzkość, opromieniona jaśniejącem słońcem.

Przedemną roztwierała się przepaść. Tajemnicza siła ciągnęła mnie ku niej. Zdawała się bezdenną. Chciałem szukać rozkoszy w unicestwieniu siebie, rozkoszy w nicestwie!... lecieć wiecznie... chciałem skoczyć w tę otchłań... Zbliżyłem się do jej krawędzi... Wtem uczułem w dłoni rękę, która mnie wstrzymała.

Byłem nawpół przebudzony; ale marzyłem. Usłyszałem ostatnie słowa: „Niema Boga!“ — J e s t! — krzyknąłem sennym jeszcze, lecz silnym głosem.

Człowiek dwudziestego wieku przeszywał mnie wzrokiem.

— Czego chcesz odemnie? kto jesteś? — spytałem.

— Jestem uczniem twoim. Przyszedłem obwinić cię przed twojem sumieniem.

Przypomniałem sobie wszystko, co mówił.

— Ty moim uczniem?! — zawołałem zdziwiony. — Pierwszy raz cię widzę.

Jeszcze sen trzymał całe jestestwo moje w objęciach, a już miłość własna obudziła się we mnie. Coby świat powiedział o mistrzu — pomyślałem — widząc takiego ucznia z obłąkanym umysłem!

— To być nie może! — rzekłem spiesznie. — Nie przypisuję sobie tego zaszczytu.

— A jednak jestem twoim uczniem. Czytałem twoje dzieła i przejąłem się twojemi zasadami. Powiedziano, że cię zrozumieją dopiero za lat sto. Ja cię zrozumiałem! — dodał z dumą, uderzając palcem w środek piersi. — Objaśniłem prace twoje. Dla poparcia zdań, jakie wyprosiłeś, napisałem: Dzieje cywilizacyi europejskiej w XIX wieku. Oto rękopis.

Smutno mi się zrobiło. Jeden człowiek mnie zrozumiał, jak sam przyznaje i ten waryatem! któż ja jestem?! ta myśl dręczyła mnie, jak zmora. Jęczałem przez sen.

— O cóż mnie obwiniasz?

— Przyjąłeś za godło „In voluntate libertas, in libertate salus“. Od woli naszej zależy wolność. W wolności zbawienie. To twoje wyznanie wiary. Dlaczego na tem poprzestałeś? Czemu nie szedłeś dalej?

— Cóż miałem więcej czynić? zrobiłem, co chciałem. Spisałem myśli moje; ogłosiłem je. Resztę zostawiam ludziom dobrej woli.

— Czemużeś swojego systemu nie propagował, czemu nie głosiłeś go z trybuny, na rynkach, na górach? czemu nie starałeś się utworzyć szkoły, zastosować do praktyki swoje zasady? Czemu żywem słowem...

— A dajże mi spokój! Byli ludzie, którzy mnie ogłosili za marzyciela, za utopistę, za szaleńca. Zamknięto by mnie jeszcze w zakładzie obłąkanych na Sonnensteinie. Wierny jestem godłu. Mam wolę, robię, co chcę.

— Ja za ciebie resztę zrobię — odpowiedział mój uczeń dumnie.

— Znakomitego mam naśladowcę! — pomyślałem z gorzkiem szyderstwem.

— Zacznę od reformy systematu wychowawczego — rzekł człowiek XX wieku — od hygieny dla uzdrowienia razem duszy i ciała.

— Najprzód od reformy zębów — dołączyłem z uśmiechem.

— Ogłoszę ten rękopis, ażeby zwrócić uwagę twoich współczesnych, że wiek dwudziesty już niedaleko; a my takich ludzi, jakimi są dzisiaj, nie przyjęlibyśmy do naszego grona, w dwudziestym stuleciu.

— Cóż z nimi zrobicie?

— To, co się robi ze staremi, zużytemi kołami i trybami maszyn, z żużlem, z popiołem. Jednych przerobimy, jeśli się jeszcze na co przydadzą; drugich wyrzucimy. Na cóż nam ludzie bez ducha?! A ogromna większość dzisiejszego społeczeństwa, zwanego oświeconem, niema w dziedzinie ducha nawet tyle wartości, ile guano.

— Zlituj się! przyjacielu — zawołałem, pasując się ze snem — nie przyznawaj się przed światem, że jesteś moim uczniem. Toby mi zaszkodziło. Zrób to dla mnie!

— A! Nie masz już cywilnej odwagi — zawołał z bolesnem szyderstwem filozof. — Przyszedłem do ciebie, jak do mistrza swego; a ty ze mną mówiłeś i mówisz, jak człowiek dziewiętnastego stulecia. Sprzeczałeś się ze mną i wielu zdań moich dziś już nie podzielasz, chociaż ja od ciębie ich się nauczyłem. Opium zawróciło ci głowę. Pijany jesteś pojęciami dziewiętnastego wieku, jak wszyscy twoi współcześni!

Te słowa były straszną dla mnie męczarnią. Krew uderzyła mi do piersi.

— Nigdy mych zasad nie wyparłem się i nie odwołam! — ryknąłem z oburzeniem — choćby mi jak Galileuszowi stosem grożono.

Przebudziłem się nagle i długo nie mogłem zrozumieć, czy to się działo we śnie, czy na jawie.

Graz (w Styryi), styczeń i luty 1881 r.